

Rok XXXV

Nr e-173 (369)

Marzec 2021

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Pieszko z miasta o nazwie Odry do miasta o nazwie Fulnek	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
Wzniesienia Płakowickie na Pogórzu Kaczawskim	<i>Krzysztof Gdula</i>	5
Chełmczyk – kopulasta góra	<i>Bartosz Skowroński</i>	8

OJCZYSTE SZLAKI

Torfowisko Baligówka w Czarnym Dunajcu	<i>Krzysztof Miraj</i>	10
Cztery wieże na czterech szczytach	<i>Tomasz Kowalik</i>	13
Jubilat ma już 45 lat	<i>Tomasz Kowalik</i>	15

CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wysłouch</i>	16
--------------------------	-----------------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Ku przestrodze	<i>Juliusz Wysłouch</i>	17
--------------------------	-----------------------------------	----

GLOBTROTER

Niagara? Obowiązkowo!	<i>Mirosław J. Barański</i>	20
Zamoyscy w Wyżnych Rużbachach	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	23
Traktat ryski i Dom Bractwa Czarnogłowych w Rydze	<i>Mirosław J. Barański</i>	25

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Skarby z Pracowni (2).	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
--------------------------------	----------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Twórca Straży Ochrony Przyrody	<i>Tomasz Kowalik</i>	30
Patron jednego rezerwatu	<i>Tomasz Kowalik</i>	32
Samson Nowacki	<i>Janusz Fuksa</i>	34

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Rozmyślanie zagryziaka	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	35
----------------------------------	--------------------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

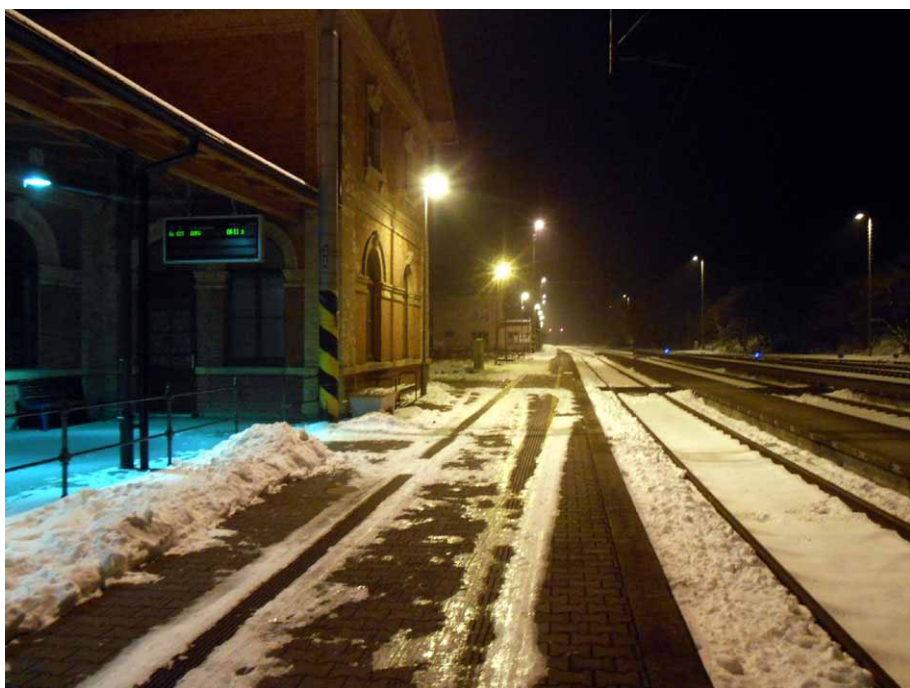
Gorce – to tam, gdzie kwitną dziewięcisy	<i>Tomasz Kowalik</i>	36
Nowości Wydawnictwa Poznańskiego		38

Na okładce: Formacja skalna Old Man of Storr na wyspie Skye w Szkocji. Fot. Piotr Dacko

Pieszo z miasta o nazwie Odry do miasta o nazwie Fulnek

Luty 2018 r.; sporo przed porankiem, *de facto* jeszcze ciemną nocą; stacja kolejowa Suchdol nad Odrou położona w Bramie Morawskiej – tu wysiadka z pociągu przybyłego od strony Ostrawy. Rozpoczyna się oczekiwanie na pociąg do miasta o nazwie Odry. Na stacji Suchdol nad Odrou jest pięknie, tu i ówdzie leży śnieg, mróz trzyma, słowem – zima! Światła semaforów, latarni i pojazdów szynowych w połączeniu z architekturą okazałego budynku tutejszego dworca czynią niezapomniany, przyjazny „klimat” tego lutowego, wczesnego poranka. Pardon... faktycznie jeszcze nocy.

W końcu pociąg, ściślej autobus szynowy, zostaje podstawiony. Godz. 6.11, nadal ciemno – następuje odjazd do stacji Odry. Pojazd szynowy opuszcza Karpaty, ściślej Karpaty Zachodnie (Brama Morawska jest do nich zaliczana) i wjeżdża w Masyw Czeski, ściślej w Sudety, dokładniej w Sudety Wschodnie, konkretnie w Niski Jesionik. Tak – ten lutowy dzień przeznaczony będzie na zimową wędrówkę, częściowo czerwonym szlakiem łączącym tytułowe miasta, właśnie w krańcowym fragmencie Niskiego Jesionika. Nim to jednak nastąpi, pociąg wjeżdża na stację Odry w mieście o takiej też nazwie. Po drodze niewiele było widać przez szyby – wszak to jeszcze *de facto* noc. Jadąc za dnia można natomiast rozkoszować się na tej krótkiej trasie pięknymi panoramami – pogranicze Bramy Morawskiej i Sudetów ma swój urok.



Na stacji kolejowej Suchdol nad Odrou ok. godz. 6:00 w lutym 2018 r.

Po opuszczeniu autobusu szynowego znów czuć zimę. Mróz trzyma, śnieg jest, nadal też jest ciemno, choć zbocza i wierzchołki pobliskich gór są już trochę widoczne.

Nim nadejdzie w pełni świt, następuje przemarsz w stronę centrum. Przez Odry przepływa rzeka Odra. O ile np. we Wrocławiu rzeka ta płynie na nizinie, to tu, w mieście Odry, jest ona rzeką górską. Będąc w nim, warto zobaczyć ją na tym jej sudeckim tu jeszcze odcinku. Tego zimowego poranka pięknie prezentuje się nie tylko Odra, ale też tutejsze Masarykovo náměstí, czyli rynek z otaczającymi ten plac kamienicami. Nie ukrywam – bardzo lubię to miejsce. Niewielkie, piękne kamieniczki, a w oddali widoczne górskie zbocza – taki widok potrafi cieszyć oczy.

Później nastąpiło przejście tu i tam, zajrzenie tam i ówdzie, a wszystko to w granicach miejscowości Odry – miasta powstałego w rejonie dawnej osady słowiańskiej o nazwie Vyhnanov. I tak przez kilka godzin leciał czas tego zimowego, pochmurnego – jak się okazało – dnia spędzonego w Sudetach, blisko ich tutejszego krańca.

W końcu jednak nastąpił wymarsz w kierunku miasta Fulnek. Za zwartymi zabudowaniami bardziej centralnej części miasta Odry znaki czerwonego szlaku umieszczono wzdłuż szosy łączącej tę część miejscowości z Pohořą. Ta ostatnia jest współcześnie integralnym fragmentem miasta, chociaż jej zabudowania są znacznie oddalone od centrum. Wspomniana szosa doń wiodąca jest prawdziwie górską drogą, o czym świadczyć

mogą choćby ostre zakręty i poprowadzenie jej – także stromymi – zboczami.

Tymczasem pnie się ona, jak i szlak, początkowo łagodnie do góry. Za plecami pozostają w dole zabudowania centralnej części miasta i wyrastających wyżej górskich zboczy. Przy okazałym wirażu szosy czerwony szlak wkracza na leśną dróżkę. Owego lutowego dnia śniegu było na niej dość sporo. Chwila postoju, zerknięcie zza drzew na też zaśnieżoną dolinę Złatego potoku i przemarsz dalej. W lesie czerwony szlak trochę kluczy. Stopniowo idzie się coraz wyżej. Przez pewien fragment trasy jest nieco bardziej stromo. Na ścieżce tymczasem nadal dość sporo śniegu. Mimo pochmurnego dnia idzie się jednak bardzo przyjemnie. Krótko mówiąc – przyjemnie jest na szlaku! Także miło jest iść na dalszym etapie tej znakowanej trasy, gdzie wiedzie ona bardziej płaskim terenem.

Przy miejscu oznaczonym na tabliczce jako „*U STŘÍBRNÉHO JEZÍRKA*” – warto odbić na szlak dojściowy prowadzący w rejon zbiornika o nazwie Stříbrné jezírko. Warto – więc następuje takie odbicie. Tego lutowego dnia cały zbiornik pokryty był lodem. Tymczasem następuje powrót na „właściwy” szlak czerwony i nim dalej wędrówka. Mimo pochmurnego dnia ośnieżone drzewa sprawiają, że nadal idzie się bardzo przyjemnie.

Biel rzuca się w oczy jeszcze bardziej na dalszym odcinku szlaku, już poza lasem. Jak to w Niskim Jesioniku gdzieś jest, tak i tu – trochę pofalowany teren bardziej przypominający wyżynę niż góry, choć oczywiście jest to pasmo górskie, mezoregion Sudetów Wschodnich. Taki już jego urok.

Po minięciu cmentarza i znajdującej się koło niego niewielkiej kapliczki czerwony szlak doprowadza zaraz do bardziej zwartych zabudowań części miasta Fulnek o nazwie Jestřabí. Choć formalnie jest to od 1976 r. część tej miejscowości, to jej zabudowania są znacznie oddalone od centrum ostatnio wymienionego miasta. Tymczasem szlak wiedzie wśród jej zabudowań, w których dominantą jest spora kaplica o żółtej elewacji. Jej ośnieżony dach i nieco też pokryta śniegiem sygnaturka z cebulastym hełmem prezentują się bardzo ładnie. Zabudowania zaraz się kończą. Temperatura wyraźnie się podnosi, co nie tylko czuć, ale i widać po nieco topniejącym śniegu. Krajobraz na lewo i na prawo od drogi łączącej Jestřabí z centrum miasta nadal przypomina wyżynę. Jest tu prawie płasko.

Dla urozmaicenia, w mieście Fulnek na pewien czas, następuje zejście z czerwonego szlaku oraz znowu – tak jak w mieście Odry – tyle, że znacznie, znacznie krótsze wędrowanie tu i tam oraz zaglądnienie tam i ówdzie. A w centrum miasta jest co zobaczyć. Ma ono bogatą historię oraz może poszczycić się sporą ilością cennych i interesujących budowli. Aby się o tym przekonać, wystarczy przybyć na tutejszy rynek – náměstí Komenského. Nie tylko zabudowania poszczególnych jego pierzei, ale także – a może przede wszystkim – górujące nad nim budowle rzucają się w oczy każdemu, kto tu zawita i popatrzy na tutejszy krajobraz.

Czas biegnie jednak nieubłaganie i nie pozostaje nic innego, jak znowu znaleźć się – tak, tak na szlaku, znowu tym samym czerwonym, by podążać nim w stronę kolejowej stacji Fulnek. To już ostatnie chwile pobytu na tej znakowanej trasie podczas dnia.

Luty 2018 r.; Fulnek, kolejowa stacja w tej miejscowości – pociąg już jest. Znow to niewielki autobus szynowy. To właśnie tym pojazdem następuje przebycie trasy do Suchdola nad Odrou, a więc i opuszczenie Sudetów na tym ich krańcu. W Suchdolu nad Odrou znow przesiadka na inny pociąg – tym razem już w stronę Ostrawy.

To był udany dzień – także na szlaku. O tym wszystkim napisałem dla czytających „Na szlaku” na 35-lecie wydawania tego czasopisma, życząc jednocześnie wszystkim wędrującym samych udanych wycieczek sudeckimi szlakami.



Drogowskazy szlaków w pobliżu stacji kolejowej Odry w lutym 2018 r.

Wzniesienia Płakowickie na Pogórzu Kaczawskim

Ledwie minął tydzień, a już wróciłem w okolice Świątka i Twardocice. Nie zdarza mi się poznać wszystkich ładnych miejsc w pierwszym dniu wędrówki, nie zdarzyło i kilka dni temu, gdy byłem tutaj po raz pierwszy. Na koniec dzisiejszej wędrówki stwierdziłem, że poznawszy więcej, nadal nie byłem wszędzie, więc zapewne nie ostatni to dzień w tej okolicy.

Wioska Twardocice leży w rozległej, chociaż płytkiej dolinie ograniczonej od północy pasmem malowniczych Wzniesień Płakowickich; jednym z najwyższych i najbliższych wsi jest Świątek. Z encyklopedii dowiedziałem się o jego wulkanicznym pochodzeniu, bazaltach, starym kamieniołomie oraz o dawnym miejscu kultu religijnego na szczycie, co miałoby tłumaczyć nazwę.

Z wioski poszedłem na północ, ku wzgórzom. Dwa z nich obszedłem wokół, później szedłem zboczami, granicą lasów. Czasami połą drogą, czasami polem. Wszedłem i w las, chcąc odnaleźć szczyt z wieżą widzianą z pół. Szukając przejść i starając się nie zgubić kierunku, rozglądałem się za grzybami. Było wilgotno i ciepło, a grzybów nie znalazłem. Dlaczego? Mówi się o zależności ich wysypu od fazy księżyca; czy to prawda, nie wiem.

Nie znalazłszy grzybów ani kierunkiem pasującego duktu w nieznanym lesie, zrezygnowałem, zwłaszcza, że otwarte przestrzenie kusily dalekimi widokami.

Rozległe, lekko falujące pola, nieliczne miedze, kępy drzew, odległy traktor bezgłośnie sunący po wielkim polu, nareszcie widoczne i rozpoznawalne dalekie góry, sąsiedni łańcuch łagodnych wzgórz z polami podchodzącymi pod zalesione szczyty, drzewo nachylnie nad drogą, spłoszona przez mnie sarna, kropelki wody na owocach dzikiej róży. Szedłem, patrzyłem i słuchałem siebie.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że w połączeniu licznych a drobnych szczegółów krajobrazu staram się znaleźć istotę jego urody, ów tajemny pierwiastek piękna, który niczym magnes przyciąga mnie w te strony.

Nie znajdę go i nawet nie będę zbyt dociekać, ponieważ wiem już, że wrażenie piękna bywa zwiewne, wrażliwe na dociekania, czyli na próbę jego uchwycenia świadomą myślą; wszak piękno raczej się odczuwa i przeżywa, niż rozumie.

Tydzień temu tylko wszedłem w las na zboczu Świątka, dzisiaj obiecałem sobie odszukać bazaltowe grzędy mające być gdzieś bliżej szczytu, ale właściwie nie wiem, po co. Po prostu przeczytałem o nich i chciałem je zobaczyć.



Obora i Kamiennik



Pogórzańska droga

Idąc między ołowianymi pniami ładnych buków, dość szybko znalazłem stary kamieniołom, później pokazały się pojedyncze bazaltowe złomki leżące w ściółce, a wyżej zobaczyłem szukane grzędy. Były stare jak sam Chronos – omszałe, zarośnięte, spękane, ale były. Nad nimi, pomiędzy drzewami, zauważyłem kształt stromego stożka: bazaltowy szczyt neku.

Słowo o odmianie. Nie będąc pewny formy dopełniacza słowa nek, zajrzałem do Internetu: na jednej stronie piszą „neku”, na drugiej „neka”. Powiedziałbym, że raczej neka, ale... nie wiem.

W encyklopedii przeczytałem o bazalcie plioceńskim, a więc mającym 3 do 5 milionów lat, co sprawdziłem, bo nazwy epok geologicznych mylą mi się beznadziejnie. Chwila w życiu planety, bezmiar czasu dla nas. Za kilka milionów lat Ziemia zmieni oblicze, żyć będą odmienne od współczesnych gatunki fauny i flory, może już ludzi nie będzie, a te czarne skały nadal będą tkwiły w ziemi, skruszałe i rozsypane jedynie z wierzchu.

Podszedłem pod szczytowy stożek bazaltów. Nie planowałem wejścia, kilkumetrowa ściana jest bardzo stroma, ale kiedy zobaczyłem wyslizgane krawędzie skał, zrozumiałem, że wiele osób wchodziło na szczyt i ja też wejść.

Zostawiłem kije u podstawy i wdrapałem się na szczyt stożka. Drzewa zasłaniały dal, jedynie drobny fragment widnokręgu był widoczny, a widok stamtąd byłby ładny. Lepszej jednak niech tak zostanie jak jest, niech nikt nie wpadnie na pomysł postawienia tutaj wieży widokowej.

Zejszcie ze skały nie było czyste. W jednym miejscu, nie mogąc stopą znaleźć półki, kurczowo zaciskając dłonie na występie. Łatwiej się wchodzi niż schodzi.



Szczyt Świątka



Polna droga pod Płakowickimi Wzgórzami



Polna droga pod Twardocicami

Na drzewie u podstawy bazaltowej skały przypięta jest kartka informująca o Świątku jako górze zaliczanej do korony Sudetów i Gór Kaczawskich.

Ciekawe czy ja, po stu sześćdziesięciu dniach spędzonych w tych górach, mam prawo założyć ich koronę...

Sprawdziłem na stronie koronygor.pl, byłem na wszystkich dziesięciu szczytach tam wymienionych, ale Świątka wśród nich nie ma. Dziwne. Chyba nie jeden cesarz nadaje prawo noszenia korony i nie według tych samych reguł. Mam więc prawo do korony czy nie? A jeśli mam, to idąc w moje góry, mam zakładać koronę czy czapkę?

Znalazłem drugą listę, znacznie dłuższą, na stronie PTTK.

Nie byłem na czterech szczytach wymienionych na niej. Uwzględnię je w swoich planach wędrówek, mimo że nie zamierzam starać się o odznakę. Za dużo zabiegów przy udowadnianiu, a poza tym uważam, że kaczawską koronę z dodatkową wielką perłą i tak zdobyłem w czasie dziewięciu lat włóczenia się po tych górach.

Wracałem do wioski. Mijał kolejny dzień polnych drózek i pogórzańskich górek.

Teraz, po kilku tygodniach od wędrówki, nawet szara droga pod chmurnym niebem oglądana na zdjęciu jest piękną. Chciałbym pójść nią. Niech będzie smutna i zapłakana, ale żeby ją widział i nie tęsknił.



Polna droga w okolicy Twardocic



Widok ze zbocza Świątka

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula

Chełmczyk – kopulasta góra

Góra, której kształt przypomina kopułę ma w sobie coś magicznego. Można powiedzieć, że taka wyniosłość wprost przyciąga wzrok i to nawet chyba tych osób, które nie są wielkimi miłośnikami podziwiania górskich panoram. No bo jak tu nie zauważyć takiego kopulastego obiektu fizjograficznego. Można by powiedzieć – po prostu się nie da. Oczywiście bez przesady, ale kształt taki jest wręcz trudny do przeoczenia.

Kopulastych gór w Sudetach nie brakuje. Wielu osobom od razu może tu przyjąć na myśl choćby środkowosudecki, ściślej wałbrzyskogórski, Chełmiec (851 m n.p.m.) – góra, która dzięki takiemu właśnie kształtowi z wielu miejsc jest doskonale rozpoznawalna. Widać ją to stąd, to stamtąd – także z daleka.

Przykładem kopulastej i bez wątpienia sudeckiej góry jest również tytułowy Chełmczyk (766 m n.p.m.), położony w powiecie kamiennogórskim. Tak – bez wątpienia jest to góra znajdująca się w Sudetach, ale czy w Sudetach Środkowych czy też może w Sudetach Zachodnich – to już, w świetle różnych opracowań, nie jest takie oczywiste. Mało tego – różne są też poglądy na to jak nazywa się mezoregion, do którego przynależy jest Chełmczyk. A co na to stosowny akt prawny? Odpowiedzi należy szukać w opublikowanym w Monitorze Polskim z 1949 r. (nr 44, poz. 592) Rozporządzeniu Ministra Administracji Publicznej z dnia 28 maja 1949 r. o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości. Biorąc pod uwagę treść tego aktu prawnego Chełmczyk znajduje się w Bramie Lubawskiej, zaliczanej do Sudetów Zachodnich. Brama Lubawska przypisywana bywa jednak – i to z reguły częściej – do Sudetów Środkowych. W obrębie Bramy Lubawskiej wyróżnia się także Wzgórza Bramy Lubawskiej, do których Chełmczyk bywa zaliczany – ba, nawet uznawany miał on być za ich najwyższy szczyt! Niekiedy jednak tytułowa góra czy też sąsiednia Świerczyna (720 m n.p.m.) bywają przypisywane do Rudaw Janowickich. Te ostatnie – jak wiadomo – są częścią Sudetów Zachodnich. Bywa też jednak tak, że Świerczyna owszem traktowana jest za szczyt leżący w Rudawach Janowickich, a Chełmczyk za górę należącą już do Wzgórz Bramy Lubawskiej – w Bramie Lubawskiej właśnie. Czyżby więc w takim przypadku granica między Rudawami Janowickimi i Bramą Lubawską przebiegała przez bezimienną przełęcz (nieco ponad 620 m n.p.m.) między Chełmczykiem i Świerczyną? Przeprowadzenie tam tej granicy nie jest raczej trafne. A dodać jeszcze wypada, że Wzgórza Bramy Lubawskiej uznawane są niekiedy za część Kotliny Kamiennogórskiej. Jak widać sporo tego. Ale tymczasem, patrząc na różnorodność tych podziałów regionalnych, można też powiedzieć po prostu – „uff”. A doprawdy dałoby się napisać o tym jeszcze więcej. Pewne jest jedno – Chełmczyk jest tam gdzie jest i na pewno leży w tamtej właśnie części Sudetów.

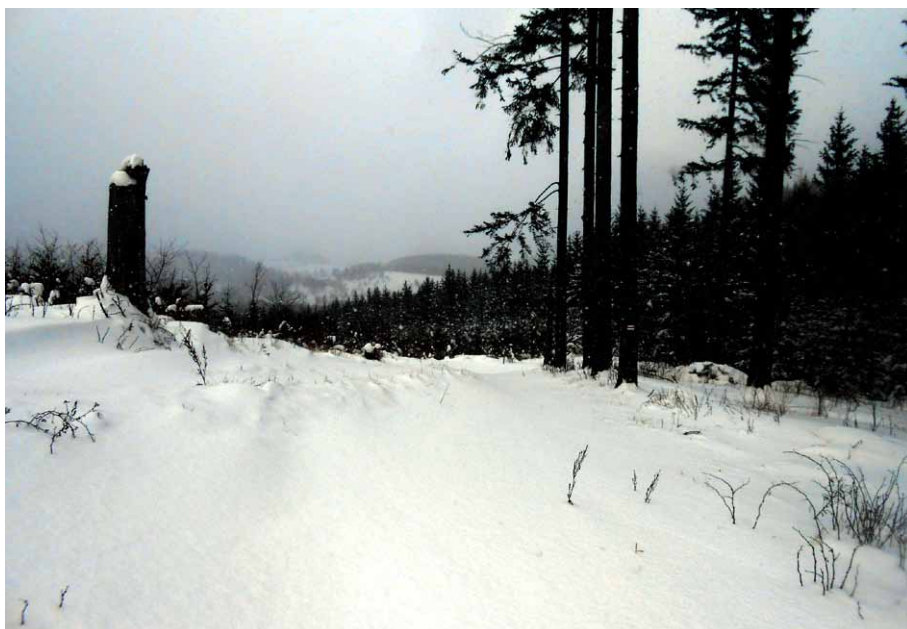
Wspomniana bezimienna przełęcz znana może być osobom wędrującym czerwonym Głównym Szlakiem Sudeckim im. dr Mieczysława Orłowicza, bowiem wiedzie on również przez nią. W jej rejonie zbiega się kilka leśnych dróg, a teren porasta tam dość gęsty las. Z samej przełęczki nie ma więc żadnych widoków na leżące niżej tereny. Nieco nad nią natomiast znajduje miejsce, z którego da się zobaczyć – i to całkiem interesujące – panoramy. Pozostały leśny odcinek tego szlaku na zboczu tytułowej góry nie daje możliwości podziwiania jakichś dalszych widoków – widać z niego tylko las i zbocza Chełmczyka.

Bardzo atrakcyjny pod względem widokowym jest natomiast odcinek Głównego Szlaku Sudeckiego pomiędzy zabudowaniami Paprotek i rejonem górnych budynków Starej Białki. Na tym jego fragmencie towarzyszy mu szlak zielony, który na dolnym zboczu niższej kulminacji Chełmczyka odbija w stronę zabudowań Paczyna. Jedna uwaga – na tym odcinku wspomnianych szlaków należy uważać na pojazdy! Znaki obu szlaków umieszczone są bowiem wzdłuż szosy. Między zabudowaniami Paprotek i rejonem budynków Starej Białki jest też skrzyżowanie szos. Tak – uważać bez wątpienia trzeba, ale przy zachowaniu ostrożności z pobocza drogi łączącej rejony zabudowań Paprotek i Starej Białki (w szczególności z okolic tablicy z przekreśloną od strony Paprotek nazwą tej wsi) warto poobserwować kopulaste zbocze... no właśnie niższej kulminacji Chełmczyka.



Fragment kopulastego Chełmczyka

Chełmczyk bowiem obok głównej kulminacji (766 m n.p.m.) ma jeszcze drugą niższą (748 m n.p.m.). Zbocza tej ostatniej jak i tej wyższej opadają bardzo stromo do doliny cieką o nazwie Bachorzyna. Z innej znów strony zbocza Chełmczyka opadają stromo w stronę doliny potoku płynącego przez Starą Białkę. Co tu zresztą dużo mówić – tytułowa góra ma po prostu strome zbocza. No, ale w końcu to kopulasta góra. Z pobocza drogi łączącej rejon domostw Paprotek i górnych budynków Starej Białki warto też popatrzeć w drugą stronę – na Zdzierną (724 m n.p.m.). Punkt widokowy w rejonie wierzchołka tej ostatniej to doskonale miejsce do podziwiania m.in. tytułowego Chełmczyka. Również stamtąd bowiem prezentuje się on okazale.



Na zboczu Chełmczyka nieco tylko nad przełęczą oddzielającą go od Świerczyny

Warto też popatrzeć na Chełmczyka z pobocza drogi łączącej rejon pierwszych od dołu budynków Starej Białki z Błazkową. Tam z kolei godnym polecenia – oczywiście przy zachowaniu ostrożności (pojazdy!) – miejscem jest rejon tablicy z nazwą „Stara Białka” (od strony zabudowań tej wsi nazwa przekreślona czerwoną linią). Przyjrzyć się stamtąd można Świerczynie, rejonowi wspomnianej przełęcz i Chełmczykowi. Z tego miejsca doskonale widać dwie kulminacje tytułowej góry. Warto nań stąd popatrzeć. W końcu bardzo okazale prezentuje się ona właśnie z dołu.

Czyżby dlatego nie poprowadzono przez jej wierzchołek znakowanego szlaku pieszego? Chyba, nie. Faktem jednak jest, że wspomniane szlaki – tak czerwony jak i zielony – wiedą tylko jej zboczami i to tymi dolnymi, w żadnym razie nie biegnąc przez wyższe partie tytułowej góry. Czy w przeszłości prowadził na jej wierzchołek jakiś znakowany szlak? Z przejranych przeze mnie map niemieckich jak i polskich opracowań kartograficznych wydanych po 1945 r. wnioskować mogę, że nie. Nie dotarłem jednak do wszystkich takich map. Z powyższego można wysnuć ponadto, że partie wierzchołkowe Chełmczyka chyba nigdy nie cieszyły się jakąś większą popularnością wśród turystów. Zupełnie inaczej niż miało (i ma!) to miejsce na Chełmcu w Górach Wałbrzyskich – popularnej przecież wśród turystów górze. A czy poza podobieństwem nazwy i kopulastością coś jeszcze łączy tytułową górę z ww. Chełmcem? Owszem – poniekąd, podkreślam poniekąd – budowa geologiczna. Jedna i druga góra zbudowana jest częściowo z permskich porfirów.



Mówiąc o podobieństwie mam na myśli oczywiście nazwy Chełmiec i Chełmczyk. Tytułowa góra określana była bowiem niekiedy też jako... Łysa Góra. To zresztą nadal jej oboczna nazwa, obecna w niektórych opracowaniach. To tak tytułem ciekawostki. A tytułem zakończenia należy podkreślić – doprawdy warto popatrzeć z dołu na Chełmczyka, rozkoszując się pięknem tej kopulastej góry.

Tablica z nazwą „Stara Białka”, o której mowa w tekście

Bartosz Skowroński

Torfowisko Baligówka w Czarnym Dunajcu

Czarny Dunajec jest podhalańską miejscowością położoną na dnie Kotliny Orawsko-Nowotarskiej. Są to tereny równinne, choć znajdujące się około 650 m n.p.m. w Zachodnich Karpatach Wewnętrznych. Rzeźba terenu Kotliny Orawsko-Nowotarskiej ukształtowana została w plejstocenie, w czasie zlodowaceń Tatr. Wtedy wody z topniejących lodowców odprowadzały w kierunku północnym Białka, Biały Dunajec i Czarny Dunajec. Każdy z cieków na północ od Pogórza Spisko-Gubałowskiego tworzył wachlarzowate stożki fluwioglacjalne z niesionych materiałów skalnych. W procesie tym następowało wyrównywanie dna Kotliny Orawsko-Nowotarskiej przez osady rzeczno-lodowcowe. W trakcie gromadzenia tych utworów większe i cięższe głazy osiadały trochę niżej niż mniejsze i lżejsze ziarna. Na powierzchni akumulowały się więc drobniejsze frakcje z piaskami i iłami.

Iły na płaskim dnie Kotliny Orawsko-Nowotarskiej utworzyły rozległe płaty rozrzucone mozaikowo w przestrzeni opisywanego regionu. Na nich wykształciły się w holocenie torfowiska. Było to możliwe dzięki izolacyjnym właściwościom drobnoziarnistych iłów, które nie przepuszczają wody. Ta bowiem zalegała na omawianych zwięzłych skałach osadowych i tworzyła rozległe i bardzo płytkie rozlewiska. W takich warunkach w chłodnym mikroklimacie górskim mogły rozwijać się mchy torfowce, które z czasem zajęły całe kompleksy gruntów wyścielone wcześniej iłami. Na obumarłych szczątkach roślin wyrastały kolejne pokolenia i tak te wodne ekosystemy „rosły” w górę, tworząc torfowiska wysokie. Były one i nadal są zasilane wodami opadowymi, które gromadzone są w warstwach torfu. Przez to torfowiska te nazywane są oligotroficznymi. Stanowią one zatem ogromne rezerwuary wody, która jest tam także naturalnie filtrowana.

Torfowiska są nie tylko swoistym zbiornikiem czystej wody, ale też gromadzą duże ilości węgla. Jest on tam zakumulowany w postaci pokładów torfu. Naziemne złoża w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej były w ubiegłych wiekach eksploatowane przez lokalną społeczność. Energetyczny surowiec po



Dawne miejsce eksploatacji torfu



Dno Kotliny Orawsko-Nowotarskiej (ok. 650 m n.p.m.)

wysuszeniu spalany był w piecach i ogrzewał domy, stanowił materiał izolacyjny oraz był wykorzystywany do nawożenia pól. Dziś z kolei podhalańskie i orawskie torfowiska objęte są ochroną w ramach obszaru Natura 2000. Mogą jednak być one wykorzystywane w turystyce, zwłaszcza turystyce przyrodniczej, ekoturystyce, geoturystyce i turystyce edukacyjnej. By jednak służyły tym celom, należałoby rozwinąć odpowiednie zaplecze turystyczne. Dobrym przykładem zagospodarowania bagiennych ekosystemów może być torfowisko Baligówka w Czarnym Dunajcu, gdzie urządzono ścieżkę dydaktyczną.



Fragment szlaku na torfowisku Baligówka

Torfowisko Baligówka znajduje się w północno-zachodniej części Czarnego Dunajca blisko Załucznego i Piekieniaka. Zajmuje ono ponad 270 ha. Swoistą ciekawostką hydrograficzną jest fakt, że omawiany ekosystem ukształtował się na bałtycko-czarnomorskim dziale wodnym. Torfowisko Baligówka położone jest na północ od drogi krajowej nr 957 Jabłonka-Piekieniak-Czarny Dunajec, która przebiega w jego bliskim sąsiedztwie. Z tej szosy skręca się na skraju lasu w stronę omawianego geostanowiska. Zaraz przy drodze stoi baczka, obok której można zaparkować samochód. Do torfowiska wiedzie utwardzona polna droga. Po 500 m dochodzi ona wprost na obrzeże torfowiska, na ścieżkę dydaktyczną. Wchodząc na torfowisko trzeba jednak pamiętać, że jest to obszar bagienny i należy iść wytyczonym szlakiem oraz zachować duże środki bezpieczeństwa. Nie powinno się schodzić ze ścieżki, bo krajobraz torfowisk jest dość monotony i nie znając terenu można zablądzić. Konieczne są nadto kalosze lub inne buty nieprzepuszczające wody, bo ta zalega tu na powierzchni nawet podczas susz.

Ścieżka dydaktyczna na torfowisku Baligówka w Czarnym Dunajcu ma charakter zamkniętej pętli. Nie można jej jednak skrócić ze względu na fakt, że pierwsza część szlaku biegnie po skraju torfowiska wysokiego, zaś drugi odcinek wiedzie dnem Kotliny Orawsko-Nowotarskiej. Człony te oddziela od siebie stromy brzeg torfowiska wysokiego, pod którym rozciągają się zabagnione nisze po dawnej eksploatacji torfu.

Ścieżka dydaktyczna ma około 2 km długości i ustawiono przy niej 12 tablic edukacyjnych. Są one poświęcone: (1) rozmieszczeniu torfowisk Kotliny Orawsko-Nowotarskiej, (2) budowie torfowiska, (3) wydobyciu torfu, (4) florze, (5) okrajkowi torfowiska wysokiego, (6) Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej, (7) drzewom i krzewom torfowisk, (8) wilgotnym łąkom, (9) ptakom okolic torfowisk, (10) pasterstwu, (11) bocianom i ich żerowisku oraz (12) znaczeniu torfowisk. Na przejście szlaku trzeba zarezerwować co najmniej 1,5 godziny, choć warto zatrzymać się przed tablicami edukacyjnymi, by zapoznać się z wieloma ciekawymi informacjami.

Ekosystem torfowisk Kotliny Orawsko-Nowotarskiej różni się od okolicznych zbiorowości roślinnych.



Kopuła torfowiska wysokiego

Okrajek torfowiska wysokiego

Na wilgotnym i kwaśnym podłożu rośnie roślinność przystosowana do jałowych siedlisk. Przykładem mogą być: żurawina błotna (*Vaccinium oxycoccos*), borówka bagienna (*Vaccinium uliginosum*), bagno zwyczajne (*Ledum palustre*), wełnianka pochwowata (*Eriophorum vaginatum*), wrzos pospolity (*Calluna vulgaris*) i rosiczka okrągłolistna (*Drosera rotundifolia*). Ta ostatnia jest rośliną owadożerną, która zdobywa składniki pokarmowe polując na owady. Wśród flory żyjącej na torfowisku nie brakuje gatunków objętych ochroną ścisłą i reliktywów glacialnych. Wiele tamtejszych roślin ma też właściwości lecznicze.

Wycieczka na torfowisko wysokie Baligówka jest osobliwą formą połączenia turystyki przyrodniczej z geoturystyką i z turystyką edukacyjną. Wymienione tu formy turystyki wzajemnie się uzupełniają, tworząc ciekawą formę wypoczynku na świeżym powietrzu. Dodatkowymi atutami przebywania w opisywanym miejscu są cisza i czyste środowisko naturalne. Ponadto ścieżka dydaktyczna poprowadzona została tak, by piechurzy mogli zobaczyć zarówno torfowisko niskie i wysokie oraz obrzeże tego drugiego. Na nim bowiem widoczne są półkoliste wcięcia w głąb kopuły torfowiska, które pozostały po dawnej eksploatacji kopaliny. U ich podstawy znajdują się nisze wyrobiskowe, w których łatwo dostrzec wysokie – przypowierzchniowe – zaleganie wód gruntowych. Ze ścieżki dydaktycznej widoczne jest także przedpole torfowiska, na którym w dawnych czasach suszono cegielki torfowe. Taki kształt nadawano bowiem kawałkom torfu wycinanym ostrymi szpadlami ze złoża.

Krzysztof Miraj

Torfowisko niskie



Pogranicze torfowiska niskiego i wysokiego



Cztery wieże na czterech szczytach

Nie mam pojęcia, kiedy na górskim szczycie zbudowano pierwszą wieżę, żeby było... więcej widać z góry, jak się już mozolnie lub tylko spacerem wejdzie na szczyt jakiegoś większego lub niezbyt wysokiego wzniesienia. Wież ci u nas dostatek, od gór do krainy jezior, każda z nich to doskonały przykład „twórczości” projektantów, inwestorów, władz lokalnych. Ktoś z zacięciem kolekcjonera mógłby zredagować album, a nawet pouczającą „encyklopedię polskich wież widokowych”. Owszem, pożytecznych, ale w większości takich, które ordynarnie niszczą krajobraz i środowisko jak przysłowiową „pięścią w nos”.

Od sudeckich Karkonoszy i Gór Izerskich przez wszystkie masywy Beskidów, a ostatnio w Gorcach, wieże widokowe panują niepodzielnie nad przestrzenią. Mało kto ośmieli się zgadnąć ile ich jest. Zdradzam: jest ich ponad 200 razem z punktami widokowymi i platformami, wieżami czy ruinami zamków. Tylko w Górach Świętokrzyskich jest 9 wież widokowych. Tatry... jeszcze zachowały swoje dziewictwo, ale łakomym ceptrom wystarczy Giewont... zamiast „wieżownictwa”.

Wiadomo, że prawie wszystkie takie budowle sterczą co najmniej 40 metrów nad miejscem posadowienia. A ponadto na ostatniej platformie widokowej zamontowano kamery do przekazywania obrazów w lokalnym systemie łączności telewizyjnej lub powiązanych z siecią krajową Internetu. Oczywiście, ku ucieście każdego, kto na taką wieżę nie chce lub nie może wejść. Najczęściej postawiono je w miejscu dawnych pomiarowych drewnianych wież triangulacyjnych do mierzenia obszaru kraju lub regionu. Niektóre wieże na szczytach dziś wspomagają entuzjastów zdobywających Koronę Gór Polski.

Wież mamy mnóstwo, zwłaszcza w niższych pasmach górskich, przeważnie na zalesionych szczytach, gdzie bez takich budowli nie byłoby żadnych widoków panoram ze szczytu. Chcąc nie chcąc, spotykamy je coraz częściej, wędrując po naszych wyższych i niższych górach. Doszło do sytuacji, że na zaplanowanych trasach wycieczek np. po Beskidach na szlaku będzie bardzo często wieża widokowa. Mało tego, w Gorcach na czterech górach w 2016 r. postawiono drewniane wieże widokowe (o wysokości około 30 m).

Inwestor – Gmina Ochotnica Dolna – zaprasza do wzięcia udziału w konkursie „Zdobądź 4 wieże”, który ma na celu popularyzowanie zdrowego stylu życia, aktywnego spędzania czasu wolnego, zachęcania do wędrowania po Gorcach i Beskidzie Sądeckim oraz promowanie Gminy Ochotnica Dolna. Innymi słowy, jest to wysokościowa część wyposażenia szlaków turystycznych, czyli – uwaga na nazwę – *Enklawa aktywnego wypoczynku w sercu Górców* (dla turystyki pieszej, rowerowej i narciarskiej w tej gminie).

Wieżę znajdziemy na szlakach prowadzących przez szczyty: Koziarz (943 m n.p.m.) nad wsią Tylmanowa w jej części sądeckiej oraz na Lubaniu (1211 m n.p.m.), Gorcu (1228 m n.p.m.) i Magurkach (1108 m n.p.m.) Wszystkie są wpisane do wspomnianej *Enklawy* jako jej atrakcyjne wyposażenie. Konkurs „Zdobądź 4 wieże” polega na odwiedzeniu każdej z nich w dowolnym czasie i ostepłowaniu ozdobnymi pieczętkami (ze skrytki na platformie widokowej) specjalnej kartki – widokówki ukazującej atrakcje krajoznawcze gminy Ochotnica Dolna.

Odciski pieczętek z zielonego tuszu nawiązują do kampanii ekologicznej prowadzonej przez Gminę Ochotnica Dolna opracowanej i popularyzowanej pod hasłem „Eko Ochotnica & Tylmanowa. W rytmie natury!” Pieczętki schowane są w „solniczkach”, które ozdabia tradycyjna podhalańska



Fot. <https://www.ochotnica.pl/pl/211/5016/zostan-zdobywca-4-wiez-.html>

rozeta skupiająca liście dziewięciła – znaku graficznego, tzw. logo, symbolu kampanii ekologicznej. Rozeta jest centralną częścią dziewięciła, znaku rozpoznawczego marki ekologicznej Gminy Ochotnica Dolna.

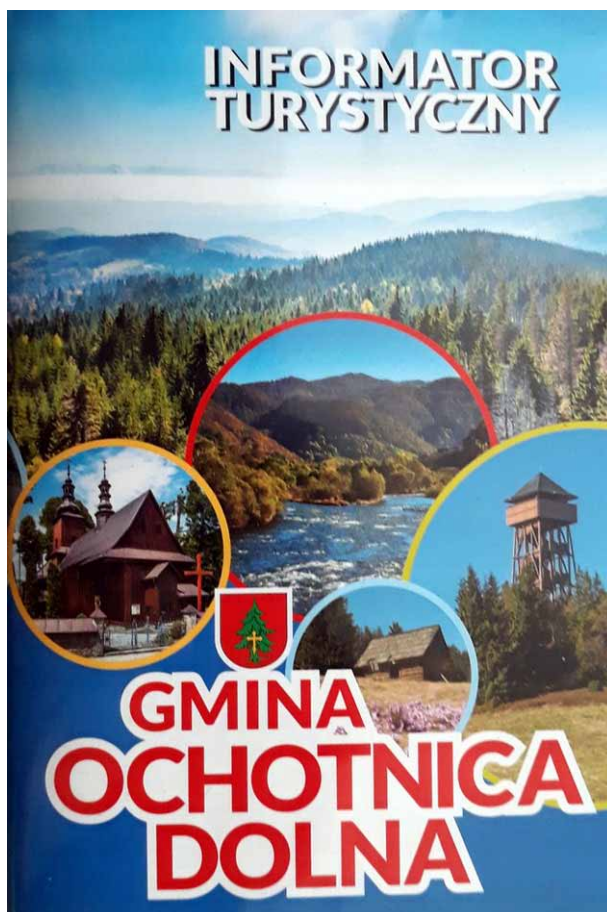
Rozety zdobią najstarsze części wnętrz starych domostw, sosrębów podtrzymujących konstrukcje stropu i wiele innych przedmiotów codziennego użytku, a także wydawnictw, spinek do koszul, drewnianych pamiątek z warsztatów twórców ludowych. Warto przypomnieć, że w tradycji podhalańskiej i gorczańskiej rozeta jest symbolicznym znakiem dobrobytu, dostatku i szczęścia, siły, zdrowia, odwagi, wierności, sumienności, ofiarności.

Na wspomnianej pocztówce – zarazem karcie potwierdzeń wejścia na wieże widokowe są cztery pola do odcisnięcia pieczętek z wież. Z opieczętowanym potwierdzeniem należy zgłosić się do Urzędu Gminy w Ochotnicy Dolnej w celu odebrania odznaki „Zdobywcy 4 wież” w formie magnesu lub breloka do kluczy. Istnieje też możliwość przesłania skanu lub zdjęcia karty z odciskami pieczętek z wież na adres mailowy zdobycwca4wiez@ochotnica.pl lub pocztą tradycyjną na adres: Urząd Gminy w Ochotnicy Dolnej, os. Dłubacze 160, 34 – 452 Ochotnica Dolna.

A zatem ruszajmy w Gorce i na wieże widokowe dla krajoznawczej przyjemności i poznania tego niewielkiego pasma górskiego o bujnej przyrodzie, gościnnych mieszkańcach i wiekowych tradycjach. Z życzeniem dobrych dni na szlakach i tradycyjnego pozdrowienia „niech Wam się darzy” nie tylko podczas wędrówki

Tomasz Kowalik

PS – dla planujących wędrówkę gorczańską przypomnam o kieszonkowym „Informatorze Turystycznym – Gmina Ochotnica Dolna” z przejrzystą mapą turystyczną przedstawionych w moim tekście „Cukierek” dla gorczańskich wędrówców” na łamach „NSz” nr e-165 (361) z lipca 2020, czyli wedle starej zasady: w Gorce, w Gorce miły bracie, tam przygoda czeka na cię...



Jubilat ma już 45 lat

Pierwszy polski park krajobrazowy powstał 12 stycznia 1976 r. Nie jest olbrzymem wśród sobie podobnych – ma tylko 6337,6 ha a jego otulina ma 9306 ha. To jest perła przyrodnicza i krajobrazowa Suwalszczyzny i Polski. Innymi słowy dzieło wielkiego mistrza łowcy. W Suwalskim PK chroniony jest krajobraz, najgłębsze polskie jezioro Hańcza (108 m), nurt rzeki Czarna Hańcza, wielka osobliwość – torfowisko wiszące nad jeziorem Jaczo oraz tysiące głązów narzutowych w rezerwatach Bachanowo i Łopuchowskie.

O ochronę tych osobliwości od ponad stu lat zabiegali krajoznawcy, turyści, przyrodnicy tacy jak hydrobiolog **Alfred Lityński**, krajoznawca **Antoni Patla**, przyrodnik **Władysław Szafer** i wielu mniej znanych. Unikatowy krajobraz SPK tworzą wzniesienia morenowe, kemowe, doliny rzek jak Czarna Hańcza i Szeszupa, jeziora i torfowiska w nieckach polodowcowych między wzgórzami. Obszar parku od początku minionego stulecia zwracał

uwagę krajoznawców, którzy tam wędrowali pod znakiem **Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego**. W Starym Folwarku nad jeziorem Wigry zbudowano w 1929 r. jedno z pierwszych reprezentacyjnych schronisk, które obecnie jeszcze trwa zdewastowane przez czas i zaniedbane przez ludzi. Obecnie Suwalski PK leży na trasie długodystansowego szlaku rowerowego Green Velo, ma skromną bazę noclegową i jest wyposażony w przybory do obsługi przemierzających się rowerzystów.

Przez kilkadziesiąt lat starania o utworzenie parku narodowego mają w swoim życiorysie wspomniani Lityński i Patla. Właśnie w 1976 r. utworzono dwa parki krajobrazowe – Wigierski – od 1989 park narodowy i Suwalski, który obchodzi teraz 45 lecie powstania. Jego dyrektorka – **Teresa Świerubska** ubolewa, że z *ważnych powodów higienicznych nie będzie obchodów tej rocznicy w formie sesji naukowych i spotkania badaczy suwalskiej przyrody. Zaznaczymy ją konkretnie i niestandardowo. Wydamy serię kalendarzy jubileuszowych. Pierwszy na 2021 rok to w istocie autorski album fotograficzny **Huberta Stojanowskiego** znanego suwalskiego autora zdjęć z ziemi, lotu ptaka i spod wody:*

Od kilkunastu lat nie powstawały nowe parki krajobrazowe. Z oczywistą szkodą dla środowiska i tworzenia w skali lokalnej produktu turystycznego. Liczba parków krajobrazowych zatrzymała się na 125 z kolei, gdy w 2018 r. powstał Park Krajobrazowy Łosiowe Góry jako jedenasty taki obszar chroniony w woj. kujawsko pomorskim. Jest w Zespole PK Doliny Dolnej Wisły. Nowy park chroni krajobraz polodowcowy i piaszczyste pola wydymowe z ujściowym do Wisły odcinkiem rzeki Osy.

Do osobliwości Suwalskiego PK zalicza się co roku większą liczbę zimujących nietoperzy. Tradycyjna pora liczenie nietoperzy w ich naturalnych siedliskach i ostojach przypada na pierwsze tygodnie roku. W 2020 było podobnie. Wszystkie 23 gatunki tych osobliwych latających ssaków występujących w Polsce są pod ochroną. Sprzyja im ocieplający się klimat. Tak się dzieje w dwóch północno-wschodnich parkach krajobrazowych w województwie podlaskim – Suwalskim i sąsiednim Rominckim. W 20 zimowiskach, najczęściej są to piwnice ziemne i przydomowe, w Suwalskim PK w 2010 r. doliczono się 194 osobników 5 gatunków.

W porównaniu z liczbą zimujących ssaków w minionych latach 2012 i 2013 znaleziono tylko w piwnicach na terenie Suwalskiego PK odpowiednio 103 i 105, a w roku 2017 – 109, zaś w 2018 r. rekordową liczbę 121 nietoperzy. Natomiast łącznie we wszystkich siedliskach na terenie SPK i w okolicznych ukryciach w 2017/2020 zimowało odpowiednio 192, 203, 173 i 194 latających ssaków. Największe zimowiska w Suwalskim PK znaleziono kolejno w pięciu latach w Stołupiance i rekordowo 25 osobników zimujących, a także 18 w Szurpiłach - 25 w zabudowaniach gospodarczych w 2020 r.



W Suwalskim PK potwierdzono podczas liczenia w 2019 r. zwiększoną liczbę nietoperzy zimujących w schronieniach wsi Rutka – z 10 do 14 na początku 2020 r. Natomiast w porównaniu wyników spisu z 2018 r. w miejscowości Szurpiły 25 ich liczba zmalała z 27 do 18. W schronieniach na terenie Suwalskiego PK w 2020 r. stwierdzono najliczniejsze zimowanie nietoperzy 5 gatunków – odpowiednio mroczka pozłocistego – 18, nocka rudego – 93, nocka Natterera – 14, gacka brunatnego – 45 i mopka – 24 osobników. Z wyjątkiem nocka Natterera i mopka liczba osobników tych gatunków nieznacznie zmalała w porównaniu z 2019 r. Zano-towano też nieobecne dotąd pojedyncze osobniki nocka Brandta.

Zimowiska nietoperzy w Suwalskim PK należą do znacznie wysuniętych na północno-wschodnie kresy Polski. Badaniem polskich nietoperzy zajmuje się m.in. Zakład Badania Ssaków PAN w Białowieży, Instytut Systematyki i Ewolucji Zwierząt Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, który zapoczątkował regularne Dekady Spisywania Nietoperzy, z reguły w lutym każdego roku także w Suwalskim PK oraz stworzył Centrum Informacji Chiropterologicznej. Warto wspomnieć, że jedną z pamiątek, jakie można zabrać z tego parku, są broszki w formie nietoperzy

Do najbardziej znanych organizacji pozarządowych zajmujących się nietoperzami należą: Polskie Towarzystwo Ochrony Przyrody „Salamandra”, Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Nietoperzy, Polskie Towarzystwo Przyjaciół Przyrody „proNatura», Towarzystwo Przyrodnicze „Bocian», które zrzeszone są w **Porozumieniu o Ochronie Nietoperzy**. Wszystkie zajmują się czynną ich ochroną, prowadzą dokumentację zagrożeń i tworzą raporty o ich liczebności w wielu regionach kraju.

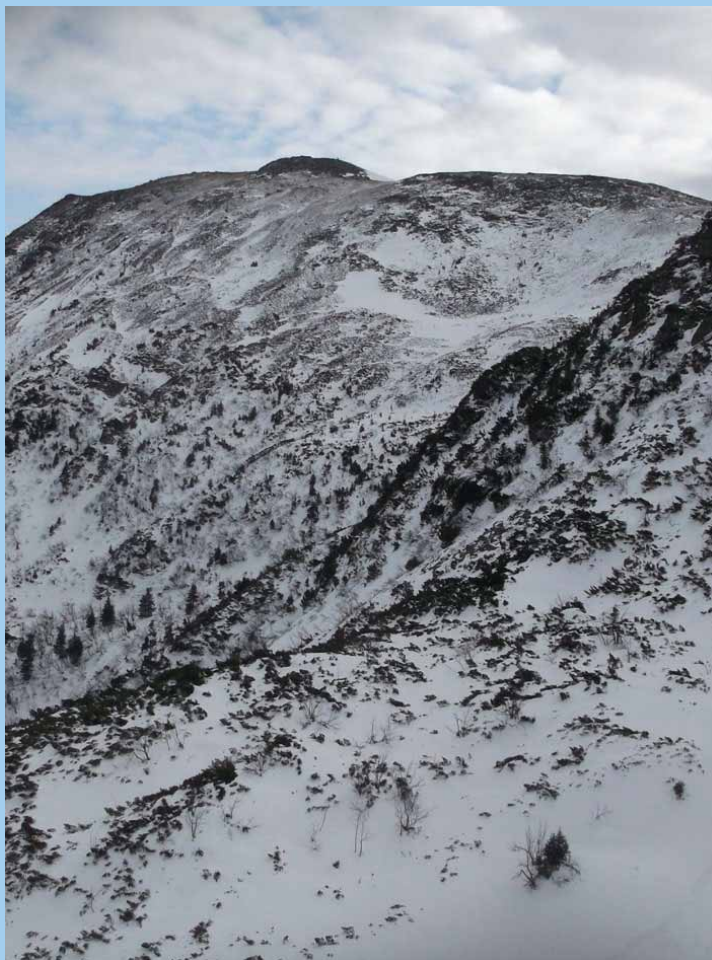
Tomasz Kowalik

CYTAT MIESIĄCA

Niepozorna polska góra

Czasem, gdy coś czytam, to oczom nie wierzę. Tytuł obszernego materiału o Babiej Górze brzmiał: *Niepozorna polska góra, która potrafi zabić nowicjusza*. No tak, niepozorna, czyli właściwie nie ma się czym przejmować, ot taka sobie górką. Możliwe, że byli i są tacy, którzy uwierzą w treść tego tytułu i nie czytając dalej, a artykuł raczej rzetelnie przedstawiał Babią, pójdą na nią jak na spacer po Zawoi. Ten tytuł pojawił się w niedzielę 25 stycznia, ale już następnego dnia pierwsza jego część brzmiała inaczej: *Kapryśna królowa Beskidów, która...* Widocznie w redakcji zjawił się ktoś trzeźwo myślący i dopasował tytuł do całości tekstu. Brawo!

Juliusz Wyslouch



„Niepozorna” polska góra

Ku przestrodze

Szanowni Państwo,

W związku z zyskującymi na popularności praktykami wybierania się w góry bez odpowiedniego ubioru stanowczo odradzam ten sposób postępowania! Brak odpowiedniego przygotowania, doświadczenia, zabezpieczenia medycznego powoduje uruchomienie ogromnej liczby osób, które uczestniczą w łańcuchu przeżycia poszkodowanego.

NIE ZAWSZE UDAJE NAM SIĘ URATOWAĆ OSOBĘ W HIPOTERMII GŁĘBOKIEJ POMIMO ZASTOSOWANIA TECHNIKI KRĄŻENIA POZAUSTROJOWEGO!!!

PROSZĘ O UDOSTĘPNIENIE WIADOMOŚCI!

Z poważaniem,

dr hab. n. med. Tomasz Darocha współtwórca pozaustrojowego systemu leczenia pacjentów w hipotermii głębokiej.

Zatem udostępniam ten arcyważny komunikat naszym Czytelnikom. Pojawił się po wyprawie ratunkowej na Babiej Górze (16.01.), kiedy ratownicy w trudnych warunkach terenowych i atmosferycznych ratowali piątkę tzw. górskich morsów. Ludzie ci, błędnie nazywani w większości mediów informacyjnych „turystami”, wybrali się z Krowiarek na Babią Górę odziani jedynie w buty i szorty (mężczyźni) oraz sportowy stanik (kobieta). Właśnie na leżącą w śniegu kobietę natknęli się turyści wędrujący babiogórskim grzbietem. Było to w rejonie Gówniaka. Kobieta była osłabiona i wyziębiona. **Turyści odziali ją i pozostałych „morsów” w miarę swoich możliwości i wezwali pomoc GOPR.** Po dotarciu na miejsce ratownicy przejęli czynności ratunkowe od turystów. Szczęściem dwaj goprowcy wykonujący w śniegu przekopy w celu aktualizacji komunikatu o stanie śniegu byli stosunkowo niedaleko poszkodowanych i powiadomieni o wydarzeniu pospieszyli z pomocą. Kolejni czterej ratownicy biorący udział w szkoleniu psów ratowniczych wyruszyli na pomoc przez Bronę. Wsparcie ruszyło także od strony Krowiarek (ratownicy z Grupy Beskidzkiej i z Grupy Podhalańskiej). Pierwsi dwaj goprowcy dotarli do poszkodowanych w ciągu 50 minut. Na grani padał śnieg, wiało 85 km/godz., temperatura odczuwalna -20 st. C. Świeży śnieg był po kolana, miejscami po pas. Po dodatkowym zaopatrzeniu kobiety zaczęto ją sprowadzać na Krowiarki, jednak traciła siły i stracono z nią kontakt. Została dodatkowo zabezpieczona termicznie i w noszach zniesiono ją na Krowiarki. Stamtąd kobietę będącą w stanie głębokiej hipotermii (temp. ciała niecałe 26 st. C) i z licznymi odmrożeniami karetka zabrała do szpitala. Co ciekawe, ratownicy uprzedzali spotykanych po drodze innych turystów o trudnych warunkach, ci jednak szli dalej, a już pół godziny później wzywali pomocy, której udzielili im ratownicy zadysponowani do pierwszej akcji.

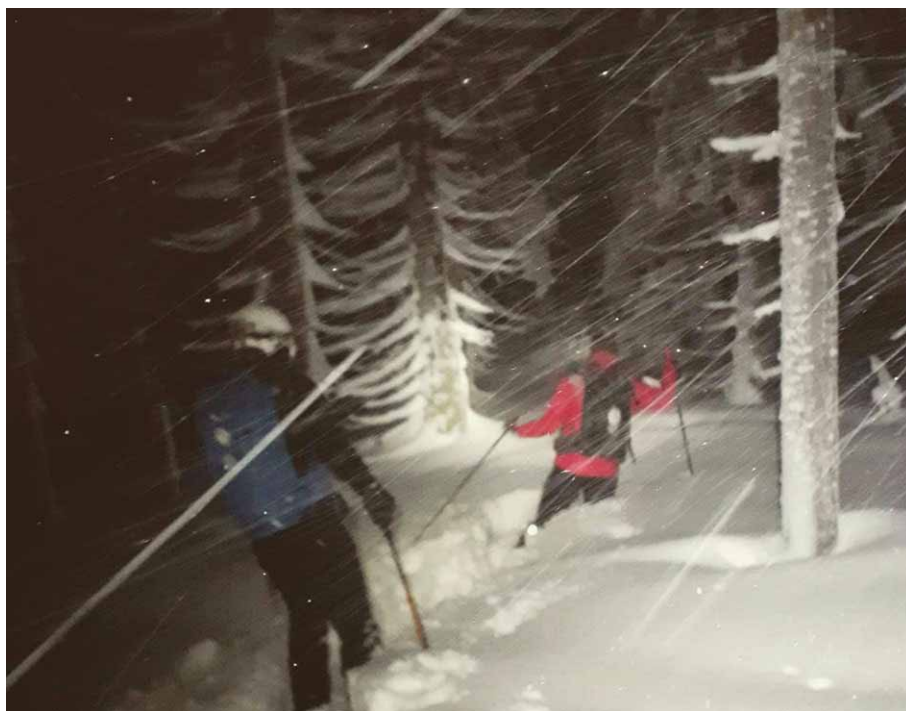
A oto krótki opis wydarzenia ze strony bohaterki tej historii (źródło Onet.pl): Jak relacjonuje turystka, wychodzili pod górę **ok. 2,5 godziny**. Po drodze dwie osoby z grupy ubrały się i zawróciły, ponieważ zrobiło im się zimno. Kobieta wraz z kolegą czuła się dobrze, więc **postanowili iść dalej. Wtedy warunki się pogorszyły - było już wietrznie i mroźnie.** Okazuje się, że praktycznie **pod samym szczytem turyści pomylili drogę.**

„Szlak był rozmyty przez wiatr. Zorientowaliśmy się, że zamiast wchodzić, schodzimy. Widoczność nie była najlepsza, pojawiła się zamieć. Czułam, że jest już gorzej. Zgodziłam się zejść. Chciałam się ubrać, ale ubrania były takie zamrożone, że ciężko było mi je na sobie rozłożyć”

Obejrzałem kilkakrotnie wywiad z ową panią i mogę bez pomyłki stwierdzić, że jej przygotowanie do wyjścia tego dnia w góry było żadne, zaś doświadczenie wątpliwe. Podobne zdanie wyrażali ratownicy GOPR. Doświadczenie to można mieć po kilkunastu co najmniej kilkudniowych zimowych wypadach w góry w różnych warunkach terenowych i atmosferycznych, łącznie z biwakami pod namiotem. To, że była latem na Orlej Perci, ma się nijak do zimowego wejścia na Babią w trudnych warunkach atmosferycznych. To całkiem inna

bajka. Owszem, była też raz „na gołasa” na Śnieżce, choć w innych warunkach. Co z tego, że w plecaku miała jakieś ubranie, skoro nie mogła i nie była w stanie ich użyć. To ubranie było zamrożone, podobnie ręce.

Tego dnia ratowano z opresji jeszcze samotnego turystę, który „utknął” w pobliżu ruin starego schroniska i nie był w stanie iść dalej. Tylko dzięki obecności na Babiej kilku zespołów ratowników można było udzielić pomocy nie tylko owym „morsom”, ale i pozostałym osobom nie dającym sobie rady w trudnych warunkach. W działaniach na Babiej Górze uczestniczyło ponad 20 ratowników z grup Beskidzkiej i Podhalańskiej. Oprócz szeroko zakrojonych działań na



Ratownicy w akcji na Baraniej 16 stycznia 2021 r.
Źródło: Facebook GB GOPR

Babiej, w sobotę 16 stycznia poszukiwano turystów w rejonie Baraniej Góry. Idący z Kamesznicy zgubili szlak i wezwali pomoc. Akcja prowadzona w trudnych warunkach terenowych i pogodowych zakończyła się o 20.30. Mocno wychłodzonych ratownicy znaleźli ok. 18.30, odwrót odbywał się pieszo w głębokim śniegu uniemożliwiającym użycie skutera śnieżnego. Jak czytamy w informacji GOPR „*Stan ekwipunku turystów nie był adekwatny do panujących warunków atmosferycznych (bawełniane ubrania, letnie buty trekkingowe, itp.*” Tego samego dnia ratownicy z sekcji Cieszyńskiej wyruszyli do kolejnej akcji. „*Sprowadzenia z Cieńkowa wymagała czteroosobowa rodzina, która nie dostosowała długości trasy do panujących warunków, nie była też odpowiednio przygotowana pod względem ekwipunku (m in. brak światła).*” Jak czytamy na Facebooku GB GOPR „*Tylko w miniony weekend (16,17.01.) ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR przeprowadzili w sumie 16 wypraw i akcji ratunkowych w rejonie m.in. Skrzycznego, Babiej Góry, Baraniej Góry, Pilska oraz Hali Lipowskiej - w sumie pomocy udzielono 26 osobom*”. Między innymi uratowano samotnego „turystę” w krótkich spodniach znajdującego się na zielonym szlaku pomiędzy Malinowską Skalą a Zielonym Kopcem. To jeszcze jeden, który chciał oszukać kilkunastopniowy mróz i silny wiatr.

Tak wyglądał ostatni weekend tegorocznych ferii zimowych w Beskidach, zaś w Karkonoszach 10-osobowa grupa wezwwała pomoc z rejonu Spalonej Strażnicy. Turyści nie byli w stanie zejść z gór w trudnych warunkach. Zaangażowanych było kilka zespołów ratowników.

Teraz meldunek z Bieszczadzkiej Grupy GOPR, też z 16 stycznia. dyżurny w Stacji Centralnej w Sanoku odebrał zgłoszenie: „*Jesteśmy między Haliczem i Rozsypańcem. Zamarzamy. ...*”. *Naszej pomocy potrzebowało małżeństwo, które pomimo tego, iż było świetnie przygotowane na górską wędrówkę w zimowych warunkach (*) (miało zapas ubrań w plecaku, ciepłą herbatę, itp.) nie poradziło sobie z trudami wędrówki. W górach panowały bardzo trudne warunki: dość silny wiatr, niska temperatura i duża wilgotność. Do tego intensywne opady śniegu, które w połączeniu z silnym wiatrem spowodowały, iż na szlaku były miejsca wywiane do zera jak i z ponad metrową pokrywą. Para nie miała ze sobą rakiet śnieżnych ani nart i mężczyzna torując drogę w okolicy Halicza (*) osłabł na tyle, że nie mógł już kontynuować marszu.* Pierwsi ratownicy dotarli do poszkodowanych już po dwóch godzinach. Mimo zabiegów grzewczych mężczyzna nie był w stanie samodzielnie schodzić, został zwieziony na Przeł. Bukowską i dalej do Wołosatego, gdzie przejęła go ekipa karetki pogotowia. W akcji brało udział 15 ratowników. Powyższe przykłady wskazują, jak duże środki i zasoby ludzkie są zaangażowane w ratownictwo w górach. (*) **Nawet odpowiednie przygotowanie nie gwarantuje bezpieczeństwa i powodzenia wyprawy.** Już jako żart przytoczę tytuł jednego z materiałów o Babiej Górze, który czytałem ostatnio na jednym z portali informacyjnych: *Niepozorna polska góra, która potrafi zabić nowicjusza.* No, jak Babia jest niepozorna, to czym tu się przejmować.

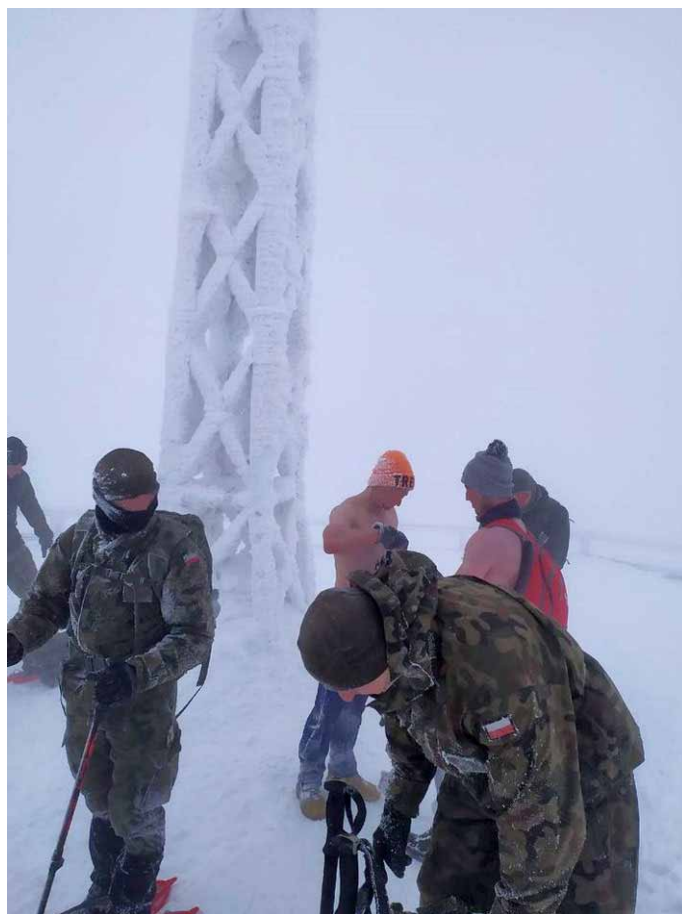
Jakby było mało, w końcu stycznia w Bieszczadach dwóch „golasów” w bardzo trudnych warunkach pogodowych wybrało się na Tarnicę w Bieszczadach. Także tym razem zabrakło doświadczenia, wyobraźni i instynktu samozachowawczego. Na szczęście spotkali drużynę żołnierzy z 18-go Batalionu Powietrznodesantowego z Bielska Białej, którzy sugerowali im, żeby się ubrali i zawrócili. Ci zaś twar do dalej szli „na golasa”, a gdy zorientowali się, że trzeba się ubrać, nie byli w stanie założyć ubrań, które mieli w plecakach. Co z tego, że mieli puchowe kurtki, skoro nie mogli ich użyć? Żołnierze ubrali ich i skracając swoją trasę, sprowadzili do Wołosatego. Chwała im.

Kolejny weekend 30 i 31 stycznia przyniósł kolejne wieloosobowe akcje ratowników na Babiej Górze i na Śnieżce oraz w Tatrach i w Bieszczadach. Skrajne warunki atmosferyczne z temperaturą odczuwalną ok. -26 stopni nie zniechęcały ludzi do wychodzenia w góry. Na Babiej i na Śnieżce widoczność niemal zerowa, silny wiatr i pokrywa śnieżna sięgająca miejscami do pasa, ale „nic to”, jak mawiał Pan Wołodyjowski. Ludzie nie potrafią wycofać się, gdy jest to konieczne i narażają ratowników na niebezpieczeństwo – oni też są tylko ludźmi.

No i tak to się plecie. Nie docierają do ludzi żadne informacje, porady, ostrzeżenia. Szef warszawskich lekarzy rodzinnych w rozmowie z jedną ze stacji TV stwierdził, że z naturą nie da się wygrać, a tzw. górskie morsowanie jako lekarz wyklucza całkowicie. Sam uprawia bieganie i **docenia terapeutyczną wartość tradycyjnego morsowania – od kilkunastu sekund do kilku minut, z odpowiednim zapleczem, możliwością ogrzania się i szybkiego ubrania się.** Prowadzący tego dnia na Babiej inną grupę „górskich morsów” w swym oświadczeniu napisał, że jego grupa miała w plecakach odpowiednie ubrania, **część ekipy ubrała się i wycofała we właściwym czasie.** Jak napisał „**trzeba wiedzieć kiedy powiedzieć STOP**”. No i to jest pointa odpowiednia dla każdej aktywności turystycznej i sportowej. Po prostu pewnych granic przekraczać nie można. **Na koniec apel ratowników górskich** (źródło: Facebook Grupa Podhalańska GOPR)

W zimowych warunkach, kiedy jest ślisko i zalega śnieg, nie jest łatwo dojechać na miejsce wypadku. Często musimy jechać z dużą prędkością, nie tylko ze względu na bezcenny dla poszkodowanych czas, ale i samą możliwość dojazdu w trudnym terenie. Choć takie informacje wydawać się mogą banalnie oczywiste, niestety spotykamy się z irracjonalnymi zachowaniami turystów. Prosimy więc, aby umożliwić nam przejazd - oddalając się zapewnić sobie bezpieczeństwo, nam ułatwić pracę, a poszkodowanym dotarcie niezbędnej pomocy. Teraz ode mnie. Turystyka jest dla wszystkich, ale róbmy w górach tylko to, co umiemy, na co mamy siły, patrzmy, co się dzieje na szlaku i w pobliżu, obserwujmy pogodę, przewidujmy, myślimy. To wystarczy, by bezpiecznie pójść w góry i wrócić.

Zdjęcia oraz migawki filmowe z akcji i wypraw ratunkowych można zobaczyć na Facebooku poszczególnych grup GOPR .



Bieszczadzkie „morsy” i bielscy żołnierze
Źródło: Facebook GB GOPR

Juliusz Wyslouch

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Niagara? Obowiązkowo!

Tak zareagowali swego czasu nasi kanadyjscy gospodarze, Basia i Andrzej, kiedy ustalaliśmy program naszego u nich pobytu. Jeden z większych (lub tylko bardziej spopularyzowanych?) hitów turystycznych Ameryki Północnej, kojarzony zwykle ze Stanami Zjednoczonymi (patrz „NS” nr e-10 (207) – 2007) zupełnie inaczej (korzystniej?) wygląda bowiem od strony kanadyjskiej. Po tej też stronie znajduje się również wiele atrakcji związanych z tymi najbardziej znanymi wodospadami na świecie. No a poza tym autostradą, przez Hamilton, to „tylko” jakieś 200 km z London. Na warunki kanadyjskie rzeczywiście niedaleko...

Samochód parkujemy w podziemnym garażu... kasyna w kanadyjskim Niagara Falls! Okazuje się, że to najtańszy parking w bezpośrednim sąsiedztwie wodospadów. Z ogrodów wokół kasyna, w których uwijają się prawie zupełnie czarno ubarwione wiewiórki, fotografujemy pierwszą panoramę Niagary i szybko schodzimy na szeroki deptak biegnący wzdłuż wody. Przeciskamy się wśród różnokolorowego i różnojęzycznego tłumu. Biali, żółci, czarni. Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Chińczycy, Japończycy i kto tam jeszcze. Są Arabowie w obowiązkowych burnusach, Hinduski w barwnych sari, jest grupka ortodoksyjnych Żydów w czarnych kapeluszach oraz kilka rodzin amiszów w olśniewająco czystej i odprasowanej odzieży. Mówiąc krótko: tu spotyka się cały świat!

Przechylamy się przez poręcz. Wodospad grzmi i huczy. Nad spienionymi wodami spadającymi z „wielkiej podkowy” unosi się bez przerwy gruba poducha mgły, na której promienie słońca wyczarowują ustawicznie coraz to nowe tęczywe malowidła. U naszych stóp na falach tańczy biały, pękaty stateczek. Usilnie podąża w kierunku potężnej wodnej zasłony. Na jego pokładzie dziesiątki maleńkich, niebieskich postaci... – Przypatrzcie się dobrze – rzuca Andrzej. – Też tam będziemy!

Póki co jednak zaznajamiamy się z podstawowymi danymi dotyczącymi wodospadów widocznymi na rozmaitych panelach informacyjnych. Rzeka Niagara długości 59 km łączy jezioro Erie z jeziorem Ontario. Różnica poziomów wody między nimi wynosi 99 m. Znacząca część z tej różnicy, wynosząca ok. 57 m, przypada na wodospad.

Niagara składa się z trzech wodospadów: American Falls (Wodospad Amerykański), Luna Falls (Wodospady Luna, zwane również Bridal Veil – czyli Welon Ślubny) oraz Horseshoe Falls (Wodospad Podkowy, nazwany tak od jego półkolistego kształtu). Ten ostatni jest najpotężniejszy, ma 675 m rozpiętości (łączna szerokość wszystkich trzech to 1204 m) i to on należy w ok. 2/3 do Kanady, podczas gdy dwa pierwsze leżą w całości na terytorium USA. Łącznie przez wszystkie trzy wodospady co sekundę przelewa się maksymalnie 6,4 tys. m³ wody. Dużo? Nie aż tak bardzo, jeśli zważywszy, że rzeka Niagara odwadnia obszar ok. 660 tys. km², a więc ponad dwukrotnie większy niż powierzchnia Polski. Średnia roczna jest dużo niższa i wynosi ok. 2,4 tys. m³.



Rzeka Niagara i wodospady amerykańskie. W głębi Rainbow Bridge łączący USA z Kanadą, a na jego tle po prawej wysoka na 86 m amerykańska wieża widokowa (Prospect Point Observation Tower)

– A czy wiesz, że pierwszymi Europejczykami, którzy oglądali Niagarę, byli dwaj Francuzi? – spytał Andrzej. – 6 grudnia 1678 r. na widok ogromnych mas wody spadających w przepaść, franciszkanin Louis Hannepin i podróżnik René Robert, Cavalier de la Salle, gdzieś tu właśnie padli na kolana i wznosząc oczy ku niebu odśpiewali „Te Deum”.

– No, nie do końca! Nie do końca ci dwaj, bo najprawdopodobniej 35 lat wcześniej dotarł tu inny Francuz, jezuita Paul Ragueneau. A jeśli jednak oni – to nie „dwaj” Francuzi, bo Hannepin był Belgiem! Warto dodać, że kawaler de la Salle w następnym roku zastąpił budowę pierwsze-

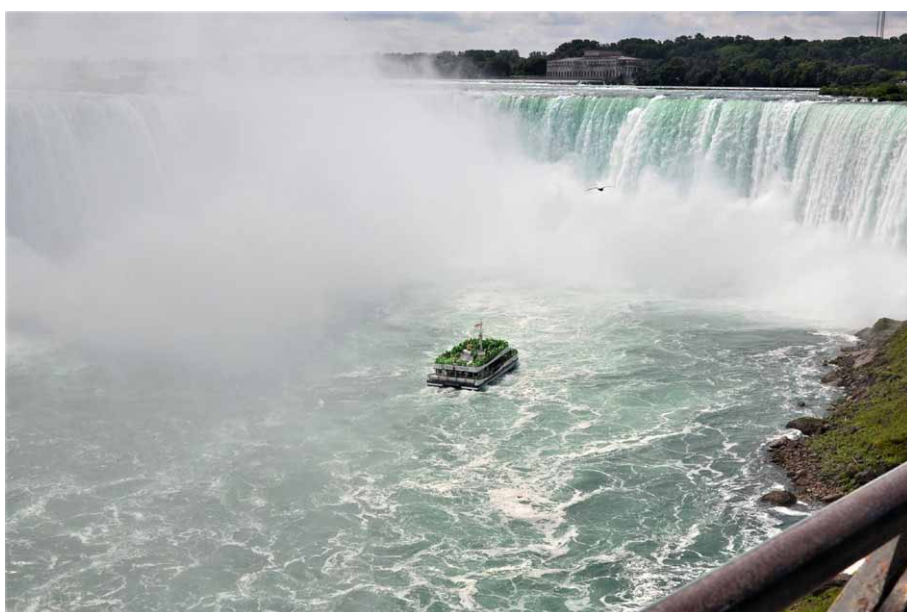
go żaglowca na Wielkich Jeziorach zwanego „Le Griffon”, a ojczulek Hannepin po powrocie do Europy wydał w 1697 r. dzieło pt. „*Nouvelle découverte d'un très grand pays situé dans l'Amérique (...)*”, w którym zamieszczona została pierwsza znana rycina przedstawiająca (zresztą nie całkiem udanie!) wodospady Niagary.

W tym czasie krawędź Wodospadu Podkowy znajdowała się wyraźnie dalej na północ. Prawdopodobnie jeszcze na początku minionego tysiąclecia zamiast obecnych trzech wodospadów istniał tylko jeden, usytuowany poniżej wyspy Goat Island. Na podstawie najstarszego rysunku wodospadu z 1763 r. można oszacować, że od tego czasu krawędź wodospadu cofnęła się o ok. 130 m. W ciągu ok. 11 tysięcy lat, od czasu zakończenia epoki lodowej, wodospad przewędrował w ten sposób blisko 11 km! Geolodzy obliczyli, że okresami tempo niszczenia krawędzi przez wodę i niesione przez nią glazy (a zimą krę lodową) sięgało 1 m na rok. Obecnie, dzięki rozmaitym przedsięwzięciom (przejęcie części wody przez hydroelektrownie i ograniczenie ilości niesionego rumoszu), utrzymuje się na poziomie 30 cm na rok. Do położonego powyżej wodospadów jeziora Erie jest około 32 km. Dokonujemy szybkich obliczeń: jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, to najpóźniej za jakieś 100 tysięcy lat próg wodospadów sięgnie brzegów jeziora...

Że nie są to procesy niezauważalne przez przeciętnego człowieka świadczy przypadek Table Rock – jednego z pierwszych popularnych punktów widokowych na kanadyjskim brzegu odwiedzanego od połowy XVIII w. Już w 1818 r. oberwał się pierwszy fragment wywieszanej skały. W następnych latach odpadały kolejne. W 1850 r. obryw objął 1/3 powierzchni skalnego balkonu wraz ze stojącym na nim powozem (woźnica zdążył uciec!...).



Krawędź Wodospadu Podkowy



Wodospad Wielkiej Podkowy

Z czasem erozja tak „podgryzła” skały, że zabroniono wejścia na nie, a w 1935 r. wysadzono ich pozostałości. Pamiątką po tym wyjątkowym miejscu jest Table Rock Welcome Centre – zbudowany w 1926 r., ledwie kilkadziesiąt metrów dalej (a później wielokrotnie rozbudowywany) budynek centrum recepcyjnego kanadyjskiej Niagara Parks Commission.

Żeby zobaczyć wodospad od spodu i od tyłu, (ta atrakcja nosi nazwę *Journey Behind the Falls*) udajemy się do tego wielkiego, gwarne- go gmachu, skąd zjeżdżamy windą 46 metrów w głąb ziemi. Ubrani

w niebieskie pelerynki (w cenie biletu!) przemierzamy korytarze wykuwane w skale od 1905 r., które wiodą do niewielkich otworów usytuowanych nieco ponad powierzchnią dolnej wody. Pierwszy z nich wyprowadza na taras na skraju wodnej zasłony i daje właśnie wgląd na wodospady „od dołu”. Drugi, położony ok. 200 m dalej, pokazuje wodospad od tyłu. Właściwie w oknie widać jedynie mętną szarość i tylko atakująca stamtąd gęsta mgła drobniutkich, chłodnych kropelek utwierdza nas w przekonaniu, że sławną Niagarę mamy oto na wyciągnięcie ręki! Spektakularne, ale... na fotografiach wychodzi mało atrakcyjnie!

Powrót wilgotnymi korytarzami urozmaica nam przeglądanie porozwieszanych na ścianach tablic przedstawiających mnóstwo interesujących faktów z dziejów wodospadów i odwiedzających je ludzi. Jak się okazuje, nie brakowało odważnych, którzy chcieli pokonać wodny żywioł. Z różnym skutkiem. Największą sławę zyskała nauczycielka Anna Edson Taylor, która 4 października 1901 r. weszła do wielkiej beczki okutej solidnymi stalowymi obręczami. Po zabiciu i uszczelnieniu dna beczkę puszczo na rzekę. Po trzech godzinach wyłowiono ją poniżej wodospadów, a z jej wnętrza wyciągnięto panią Taylor. Całą i zdrową, jedynie z kilkoma siniakami i zadrapaniami. Była pierwszą osobą, która dokonała tego brawurowego czynu. Wkrótce po wyjściu z beczki powiedziała jednak: „Nikt nie powinien nigdy więcej tego robić”.

Rzeczywiście, inni nie mieli tyle szczęścia. Usiłowania przebycia Niagary w różnych „pływadłach” stały się z czasem na tyle częste i tragiczne w skutkach, że zostały zakazane pod karą mandatu w wysokości 10 tys. dolarów. Podobnie ma się rzecz z próbami przechodzenia Niagary w poprzek. Te odbywały się zwykle poniżej wodospadów na wysokości dzisiejszego mostu Rainbow Bridge z 1941 r. łączącego Kanadę z USA. Pierwszym znanym człowiekiem, który przeszedł po linie rozciągniętej nad kanionem Niagary, był w 1859 r. Charles Blondin. Wyczynu tego dokonał on w tym roku jeszcze 8 razy, w tym raz niosąc „na barana” swego menadżera. Pal licha linoskoczka, ja podziwiam menadżera!...

Parę lat przed naszym pobytem w Kanadzie, 15 czerwca 2012 r., amerykański akrobata Nik Wallenda stał się pierwszą od 116 lat osobą, która przeszła po linie rozwieszanej w rejonie wodospadów. Lina długości 550 m była rozpięta blisko krawędzi Wodospadu Podkowy i po amerykańskiej stronie umocowana była



Wodospad Wielkiej Podkowy „od tyłu”. I żadnych krat!...



Wodospad Wielkiej Podkowy na wyciągnięcie ręki

w miejscu zwanym Terrapin Point na zachodnim krańcu wyspy Goat Island. Według części źródeł był to wówczas najdłuższy spacer po linie bez zabezpieczenia w historii. Całe wydarzenie odbyło się po otrzymaniu specjalnego pozwolenia od rządów obu krajów i w założeniu było wyjątkową i jednorazową formą promocji wodospadów. Jako anegdotę opowiada się, że podczas swego wyczynu Wallenda miał przy sobie paszport i był zobowiązany do okazania go po przybyciu na kanadyjską stronę wodospadu...

c.d.n.

Mirosław J. Barański

Zamoyscy w Wyżnych Rużbachach

Zatrzymamy się w Wyżnych Rużbachach, uzdrowisku, które swój rozwój i rozkwit zawdzięczało magnackim rodom Lubomirskich i Zamoyskich. Najstarsza wzmianka o miejscowości pochodzi z końca XIII wieku, ale dopiero za starostów Lubomirskich (1591-1745) stało się miejscem spotkań arystokracji polskiej i węgierskiej. Zimą starostowie rezydowali na zamku w Starej Lubowli, latem przenosili się do źródła. Stanisław Lubomirski leczył w uzdrowisku z powodzeniem swój artretyzm.

Warunki klimatyczne miejscowości położonej u podnóża Magury Spiskiej były ku temu sprzyjające, zauważono, że temperatura roczna była nieco wyższa o 5-6 stopni niż w innych częściach Spiszu, cieplejsze były lata i łagodniejsze zimy, a ciepłota źródeł termalnych (do 24,2 stopni) umożliwiała wykorzystanie wód w basenach. Pierwsza wzmianka o wodach leczniczych ukazała się w pracy szaryskiego żupana Georga Wernhera wydanej w Wiedniu w 1551 r. oraz w studium polskiego kronikarza Marcina Kromera. Pierwszą analizę chemiczną wód mineralnych przeprowadził Jan Inocenty Petrycy, krakowski lekarz i historyk, wychowanek Akademii Krakowskiej i uniwersytetu w Bolonii, zawarł ją w pracy wydanej w Krakowie po polsku i łacinie „O wodach mineralnych w Drużbakach i Łenkowej”(1635). Wody zalecane były w chorobach skóry (m.in. grzybicy, łuszczyca, egzema), nerek, zapalenia pęcherza moczowego i upławów, artretyzmie i reumatyzmie, w leczeniu stwardnienia rozsianego, schorzeń psychoneurotycznych i zaburzeń narządu równowagi i słuchu.

Starostowie Lubomirscy zabezpieczyli miejsca wypływu źródeł, ocembrowali je, a wodę do łaźni doprowadzili rurami specjalnie wydrążonymi w drewnie. Wybudowali też dom mieszkalny zwany „domem książęcym”, który stanowił ich letnią rezydencję oraz pierwsze obiekty gastronomiczne (jadalnię, kuchnię). Organizowali dla swych gości turnieje, gonitwy, biesiady, utrzymywali wysoki standard opieki medycznej. U schyłku XVIII wieku, w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej, tereny Spiszu znalazły się w rękach austriackich. Uzdrowisko podupadło, nastąpiła dewastacja obiektów. W 1825 źródło nabył węgierski arystokrata baron Imre Jenő von Jóny i podjął się jego odbudowy. Sukcesorem po jego śmierci było niemieckie protestanckie liceum w Kieżmarku, które z kolei sprzedało je gminie.

W 1882 r. Andrzej Przemysław hr. Zamoyski nabył od miasta w Starej Lubowli dobra zamkowe, uzdrowisko w Wyżnych Rużbachach oraz rozległe połacie ziemi ornej i lasy wokół Wyżnych Rużbachów, Granastowa, Podolińca, nieruchomości w Mniszku nad Popradem i Pilhowie. Andrzej Zamoyski przeniósł się na stałe do zamku w Starej Lubowli, choć nie zrezygnował ze swoich dóbr rodowych w Królestwie Polskim, był znanym bibliofilem, kolekcjonerem dzieł sztuki i poloników na Słowacji i Węgrzech, zajmował się heraldyką i genealogią rodów. W 1885 r. poślubił Karolinę ks. Bourbon des Deux-Siciles (1858-1941). Z tego związku pozostawił siedmioro potomstwa (cztery córki i trzech synów), w tym najmłodszego Jana Kantego, dziedzica majątków na Spiszu.

Andrzej Zamoyski odszedł od mało dochodowej gospodarki rolnej, koncentrując się na leśnictwie i zakładzie kąpielowym w zdrojowisku, które miało – w jego planach – stanowić podstawowe źródło dochodów. Zamek i nabyte nieruchomości wymagały natychmiastowych inwestycji, środków na nie hrabia już nie posiadał, wydając majątek na ich zakup.

Uzdrowisko zatem przekazał w długoletnią dzierżawę Węgierskiemu Towarzystwu Karpackiemu. Pomimo że działacze towarzystwa pobudowali obiekty mieszkalne i zabiegowe, na nowo ujęli źródła wód mineralnych, to hrabia nie był zadowolony, spodziewał się znacznie więcej i po I wojnie światowej nie przedłużył umowy, która formalnie wygasła w 1916 r.

Korzystając z kredytów i własnych środków – w latach 1916-1926 – rozpoczął



Budynek uzdrowiskowy Biały Dom zbudowany przez hr. Jana Zamoyskiego

modernizację obiektów uzdrowiskowych, tak żeby spełniały wymogi gości z zagranicy. Dla zamożnej klienteli wybudował nowoczesne wille, nazywając je: „Thermia”, „Karolina”, „Teresa” i „Maria” oraz łazienki, łaźnie dla zabiegów borowinowych i glaktologicznych. Jego ambitne działania modernizacyjne kontynuował syn hr. Jan Kanty, który 1 lipca 1926 przejął z rąk ojca dobra na Spiszu. Po ojcu odziedziczył zamiłowanie do historii, bibliofilstwa i kolekcjonowania poloników. Marzył o założeniu muzeum pamiątek polskich na zamku w Starej Lubowli, ale zamysłu nie zrealizował. Dodam, że jako ochotnik wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1921. Ukończył studia ekonomiczne w Szkole Nauk Politycznych w Paryżu.

Jan Kanty 9 marca 1929 r. poślubił kuzynkę króla hiszpańskiego Alfonsa XIII – ks. Izabelę de Bourbon des Deux-Siciles (1904-1985). Była ona córką infanta ks. Karola oraz ks. Marii de las Mercedes. Korzystając z pomocy finansowej teściów i zaciągając kredyty, zlecił inż. Oskarowi Zuberowi z Kieżmarku sporządzenie planów nowoczesnych domów zdrojowych („Biały Dom”, „Dom Szwajcarski”), basenów kąpielowych i ujęcia źródeł, natomiast wybitnemu architektowi Albertowi Kesselbauerowi zlecił przygotowanie nowoczesnego centrum rehabilitacyjnego, tzw. „Strandhotelu”.

Inwestycje przeprowadzone przez hr. Jana Kantego w latach 1927-1932 dorównały do rangi najlepszych tego typu obiektów zdrojowych w Europie Środkowej. Poziom zadłużenia był jednak tak wysoki, że wierzyciele doprowadzili na mocy wyroku sądowego do przymusowego zarządu uzdrowiskiem.

Mało brakowało, a uzdrowisko dostałoby się w ręce wierzycieli – Skoda (Rothschild) i Riunione Adriatica (bankierzy z Triestu). Utworzyć już mieli nawet konsorcjum w celu przejęcia i wspólnego gospodarowania na tej części majątku Zamoyskiego. Rodzina w wyniku kryzysu gospodarczego nie była w stanie na bieżąco



Jan Kanty Zamoyski i Izabela de Bourbon – Madryt [zdjęcie ślubne 9 03 1929]

splacać zobowiązań, jednak starała się o odłożenie płatności – gwarantując swoim majątkiem spłatę wraz z odsetkami. Zamoyski w 1932 r. deklarował aktywa wynoszące przeszło 31 milionów koron czeskich przy zobowiązaniach wynoszących 4 miliony. Ostatecznie udało się utrzymać majątek, w czym miała mieć swój udział żona Isabel. Nie udało się Rothschildom i bankierom z Triestu, to po wojnie poradzili sobie komuniści, zabierając im dobra. Nadto, a to potrafili robić, zaczęli pomniejszać ich rolę czy wręcz rugować pamięć i dokonania po nich.

Lata 1935-1944 to ostatni okres pobytu Zamoyskich na Spiszu.



Kąpielisko termalne obecnie



Trawertynowe jezioro krater

Maria Isabel Brzozowska-Zamoyska (20 04 1891 Kraków – 11 06 1957 Vyšné Ružbachy) i Maria Teresa Jezierska Gołąbek-Zamoyska (20 11 1894 Warszawa – 28 12 1953 Vyšné Ružbachy), którym nie udało się wyjechać, do śmierci mieszkały w uzdrowisku i są pochowane na miejscowym cmentarzu.

Ryszard M. Remiszewski

To było 100 lat temu

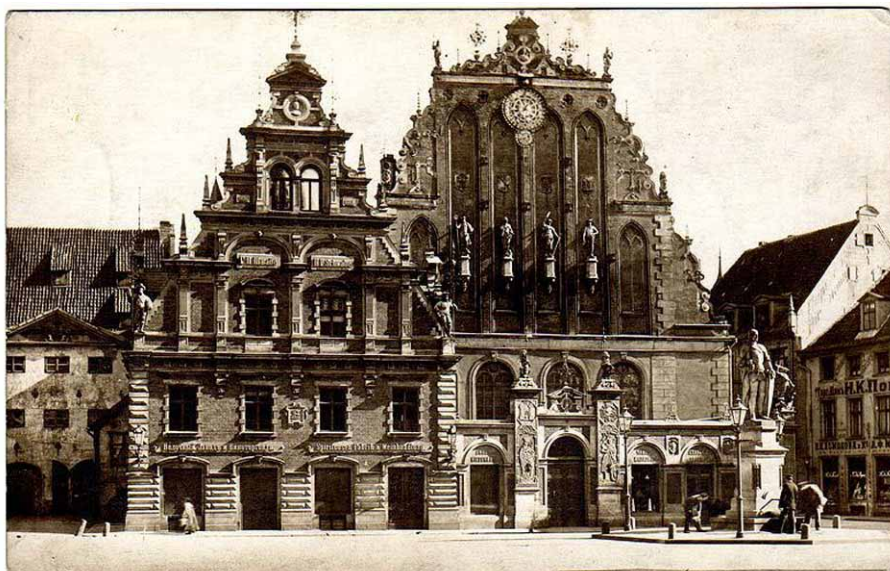
Traktat ryski i Dom Bractwa Czarnogłowych w Rydze

Trwająca w latach 1919-1920 wojna pomiędzy odrodzoną Rzeczpospolitą a Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Radziecką została przerwana 12 października 1920 r. zawarciem w Rydze zawieszenia broni (wchodziło w życie 18 października). Warto pamiętać, że rozmowy polsko-sowieckie trwały już od końca sierpnia 1920 r., a 21 września tego roku zostały przeniesione do Rygi na grunt formalnie już niepodległej Łotwy. Posiedzenia plenarne rokowań odbywały się w tzw. domu Bractwa Czarnogłowych. Tu też równo sto lat temu – 18 marca 1921 o godz. 20:30 został podpisany traktat pokojowy pomiędzy RFSRR i Ukraińską SRR a Rzeczpospolitą, który zaczął obowiązywać od dnia wymiany przez strony dokumentów ratyfikacyjnych, co miało miejsce 30 kwietnia tegoż roku w Moskwie. Traktat ustalał m.in. granicę polsko-sowiecką, a obydwie strony zobowiązały się w nim do nieingerowania w sprawy wewnętrzne drugiego państwa.

Autor niniejszego tekstu należy do pokolenia, któremu na lekcjach szkolnych o przywołanej wyżej wojnie mówiono w dwóch lub trzech oględnych zdaniach, o traktacie ryskim – w jednym. O miejscu jego zawarcia, tj. owym domu Bractwa Czarnogłowych – wcale. Bo też i nie było wówczas o czym mówić! Dlaczego? Zobaczmy niżej.

Ryga, położona u ujścia Dźwiny do Zatoki Ryskiej, zamieszkała była już od X wieku. Jako miasto założona w 1201 r., w 1255 r. stała się już siedzibą wielkiej terytorialnie archidiecezji Prus, Inflant i Estonii (podlegały jej wówczas m.in. Elbląg, Kwidzyn i większość Warmii!). Rozwijała się bardzo szybko i w 1282 r. została członkiem Hanzy – luźnego, choć wielce wpływowego związku skupiającego miasta handlowe basenu Morza Bałtyckiego. Prym w tych miastach wiedli bogaci kupcy zrzeszeni w gildiach. Budynki gildii były siedzibami z jednej strony giełd handlowych, z drugiej – swoistych kupieckich „związków zawodowych”. Ich członkami byli jednak tylko miejscowi kupcy zwykle z zasiedziałył rodzin kupieckich. Prowadzący w mieście interesy kupcy przybyli z innych miast, właściciele statków czy nawet młodzi, nieżonaci kupcy miejscowi nie będący formalnie obywatelami miasta zrzeszeni byli w oddzielnym stowarzyszeniu nazywanym Bractwem Czarnogłowych. Zwyczajem było, że po ślubie Czarnogłowi wstępowali do Wielkiej Gildii w mieście osiedlenia.

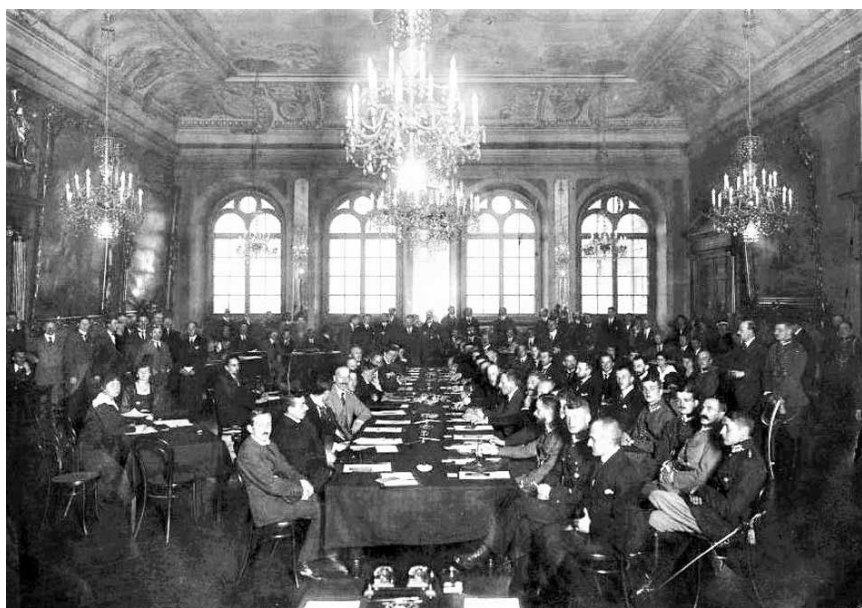
Bractwo (w języku łotewskim *Melngalvju brālības*) działało od połowy XIV w. w całej Liwonii, a jego dzieje i związki z miastami tej części wybrzeża Bałtyku godne byłyby osobnego artykułu. Była to pierwotnie organizacja typu paramilitarnej, jednak z czasem górę wzięły cele handlowo-polityczne, a później również towarzyskie. Bractwo Czarnogłowych było zarządzane przez przełożonych wybieranych spośród jego członków. Na początku patronem tego stowarzyszenia był św. Jerzy (patron rycerzy i wojowników). Później rolę tę przejął święty Maurycy (męczennik), którego symbol, głowa Maura, wszedł do herbu Czarnogłowych.



**Oryginalny Dom Czarnogłowych na pocztówce z lat 1900-1918
(źródło: wikimedia)**

Budynek na placu ratuszowym Rygi, w którym pomieściło się później Bractwo Czarnogłowych, był po raz pierwszy wspomniany w 1334 r. jako „Nowy Dom Wielkiej Gildii”. Służył zarówno kupcom jak i innym obywatelom Rygi, zresztą w większości niemieckojęzycznym. Odpowiadał on swą funkcją Dworom Artusa budowanym w innych miastach hanzeatyckich w tamtym czasie. Wzniesiony w stylu gotyckim, kalenicą swego stromego, dwuspadowego dachu sięgnął wysokości 17 metrów. W piwnicach przechowywano wino, w pomieszczeniach na poddaszu szereg innych towarów. W 1447 r. Rada Miejska Rygi wynajęła Czarnogłowym największą paradną salę na piętrze. Ranga budynku wzrosła, gdy został on przebudowany, uzyskując bogato zdobioną manierystyczną fasadę na wzór niderlandzko-flamandzkich domów cechowych. Nie wiadomo, kto był autorem przebudowy – historycy architektury wskazują na budowniczych związanych z Danią, Bremą lub Gdańskiem.

Członkowie Bractwa spotykali się w budynku zarówno w czasach, gdy miasto należało do Zakonu Liwońskiego, następnie księstwa Kurlandii, a od 1621 r. do Szwecji – jak i po 1710 r., gdy Piotr I włączył Rygę do Rosji. Byli zwolennikami Reformacji. Nazwa „Dom Czarnogłowych” pojawiła się w 1687 roku, ale dopiero w 1713 roku przeszedł on na własność Bractwa. W 1895 r. Bractwo zakończyło działalność jako korporacja handlowa, stając się czymś w rodzaju stowarzyszenia społecznego i klubu zrzeszającego niemieckojęzycznych mieszkańców miasta. Dom pozostał jego własnością aż do wcielenia Łotwy do Związku Radzieckiego i wyjazdu Niemców w 1940 r. Oczywiście w międzyczasie uczestniczył w doniosłym zdarzeniu historycznym, o którym było już wyżej.



**Wielka Sala na piętrze: posiedzenie plenarne rokowań pokojowych
(po lewej delegacja sowiecka, po prawej polska); widoczne cztery
półkolistie zamknięte okna fasady frontowej (źródło: wikimedia)**

Dom Czarnogłowych został poważnie zniszczony podczas II wojny światowej, 29 czerwca 1941 r., kiedy wojska niemieckie ostrzeliwały Rygę. W 1948 roku pozostałe ruiny wysadzono w powietrze nie tylko z powodu dużych zniszczeń, ale także z powodów ideologicznych. To również dlatego nazwa ta nie pojawiała się w podręcznikach historii dwóch powojennych pokoleń Polaków. Teren po budynku został włączony do znacznie powiększonego placu ratuszowego,

obsiany trawą i pozostał niezagospodarowany do 1993 roku. Dopiero wtedy, już w niepodległej Republice Łotewskiej, w ramach przygotowań do obchodów 800-lecia miasta postanowiono go odbudować. W ciągu czterech lat (1995–1999), kosztem ok. 4 mln łatów, budynek został wiernie odtworzony.

Dom Czarnogłowych wzniesiony na rzucie prostokąta 17x25 m jest nieco cofnięty w stosunku do sąsiedniego, równie pięknego, Domu Schwabego. Puste pole wypełnia parterowa kondygnacja z bramą wejściową. Po jej lewej stronie widzimy postać Matki Boskiej i herb Rygi, po prawej św. Maurycego i herb Bractwa. Filary wieńczą figury



Dom Czarnogłowych obecnie

lwów trzymających włócznie i tarcze z herbami, a narożnik – rzeźba św. Jerzego walczącego ze smokiem.

U stojących na placu uwagę zwraca przede wszystkim potężna, manierystyczna fasada wymurowana z czerwonej cegły z czterema ślepymi maswerkami. Na jej szczycie znajduje się wiatrowskaz przedstawiający również świętego Jerzego w walce ze smokiem. Bezpośrednio poniżej, na szczytowej fasadzie, znajduje się płaskorzeźbiona podobizna króla Artura z berłem i królewskim jabłkiem.

Pod płaskorzeźbą widzimy zegar astronomiczny. Oryginał został wykonany w 1626 roku przez mistrza zegarmistrzowskiego Matisa jako „Calendarium perpetuum” (*Wieczny kalendarz*). Aktualny zegar jest repliką wykonaną w Ratyzbonie. Oprócz faz księżyca, znaków zodiaku i czasu pokazuje on również datę i dzień tygodnia.

Pod zegarem umieszczono herby hanzeatyckich miast (od lewej): Rygi, Bremy, Lubeki i Hamburga. Są strzeżone z lewej i prawej strony przez lwy. Pod herbami znajdują się cynkowe figury przedstawiające (od lewej) Neptuna, alegorie Jedności i Pokoju oraz Merkurego. To bodaj najmłodszy element fasady, ich autorem był w 1886 r. miejscowy rzeźbiarz August Volz (1851-1926), twórca również stojącego przed budynkiem posągu Rolanda.

We wnętrzu imponuje tzw. Wielka Sala o powierzchni 330 m², w której w 1921 r. odbywały się obrady plenarne delegacji pokojowych i w której został podpisany końcowy dokument. Została ona przywrócona do dawnej świetności wraz ze wszystkimi dekoracjami ściennymi i sufitowymi oraz obrazami przedstawiającymi szwedzkich królów: Gustawa Adolfa II, Karola XI i Karola XII, Królową Krystynę i rosyjską carycę Katarzynę II, Cara Piotra I i Wielkiego Księcia Pawła I. Sąsiaduje z nią bezpośrednio Sala Lubeki o powierzchni 120 m², zdobiona panoramą Lubeki. Na schodach prowadzących do wielkiej sali znajdują się popiersia: Johanna Sebastiana Bacha, Georga Friedricha Händla, Josepha Haydna, Wolfganga Amadeusza Mozarta, Ludwiga van Beethovena, Franza Schuberta, Richarda Wagnera i Johannes Brahmsa.

W latach 2012-2016, gdy prace remontowe objęły ryski zamek, Dom Czarnogłowych pełnił rolę siedziby prezydenta Łotwy i w tym czasie był on trudno dostępny dla zwiedzających. Dziś mieści się w nim muzeum, w ramach którego można obejrzeć historyczne sale, a także m.in. punkt „it” i kawiarnia. Tablica upamiętniająca podpisanie traktatu ryskiego znajduje się wewnątrz budynku w klatce schodowej wiodącej na piętro. Polscy przewodnicy o niej wspominają, z łotewskich – tylko ci „nauczeni” już wcześniej przez inne polskie wycieczki. O podpisaniu w tym miejscu pokoju ryskiego milczą często (z nieznanego powodu!) łotewskie wydawnictwa. Nie mówiąc już o mediach rosyjskich... Dlatego warto przypomnieć to zdarzenie, a przy okazji niezwykle fotogeniczny obiekt, który się z nim łączy.

Miroslaw J. Barański

Państwowe Uzdrowiska Dolnośląskie. Informator na rok 1947/48

Jak wskazuje tytuł publikacja ta wydana nakładem Państwowych Uzdrowisk Dolnośląskich zawiera podstawowe informacje o działających wówczas uzdrowiskach i metodach leczenia stosowanych w poszczególnych zakładach.

Centralny Zarząd Państwowych Uzdrowisk Dolnośląskich z siedzibą w miejscowości Solice Zdrój nieopodal Wałbrzycha w roku 1947 dysponował następującymi uzdrowiskami: Cieplice Śląskie, Czerniawa Zdrój (dawniej Leśny Zdrój), Długopole Zdrój (d. Dłużewo Zdrój), Duszniki Zdrój, Kudowa Zdrój, Łądek Zdrój, Polanica Zdrój (d. Puszczyków), Przerzeczyn Zdrój (d. Zdrojówek), Solice Zdrój, Świeradów Zdrój (d. Wieniec Zdrój), Trzebnica.

Oprócz wymienionych zdrojowisk Państwowe Uzdrowiska Dolnośląskie dysponowały stacjami klimatycznymi. Z tych większych należy wymienić stacje: Karpacz-Bierutowice, Oborniki Śląskie, Sokołowsko (d. Jar), Szklarska Poręba (Dolna, Średnia i Górna), Wysoka Łąka-Kowary. Jeśli chodzi o mniejsze ośrodki to do ważniejszych należały: Agnieszków (obecnie Jagniątków), Chojnasty (obecnie Sobieszów), Matejkowie (obecnie Przesieka), Międzygórze, Miłków, Piotrowice (obecnie Piechowice), Popławy (obecnie Podgórzyn).

Aby zachęcić do podejmowania leczenia na Dolnym Śląsku, reklamowano posiadane obiekty jako nowoczesne, wyposażone w dobrej jakości urządzenia. Do tego kuszących ewentualnych kuracjuszy pięknem krajobrazu, organizowaniem wycieczek w góry i lasy, do starych zamków i innych obiektów zabytkowych. Zapraszano także na różnego rodzaju zawody sportowe, obozy szkoleniowe, na koncerty, przedstawienia teatralne, do muzeów oraz kawiarni i restauracji serwujących dania regionalne. Głównym hasłem mającym zapewnić o tym, że warto tutaj przybywać na leczenie były słowa: „Po zdrowie i radość życia do uzdrowisk dolnośląskich”. Nic też dziwnego, że w 1946 roku przez wspomniane uzdrowiska przewinęło się ponad 80 tysięcy osób. Większość z nich stanowili ludzie pracy.

Jeśli chodzi o poszczególne miejsca, to leczono w nich konkretne schorzenia. Były to wszelkiego typu stany zapalne, choroby kobiece, reumatyzm, artretyzm, stany pourazowe, nerwobóle, schorzenia serca, niedokrwistość, choroby przewodu pokarmowego, nerwice itd. Dlatego każdy, kto decydował się na pobyt



lecniczy, musiał zostać zbadany i zakwalifikowany do konkretnego ośrodka. W większości z nich dysponowano łaźniakami mineralnymi i borowinowymi, były oddziały elektroterapii, hydroterapii, masaży, także pijalnie wód. Kuracjuszom zapewniano warunki do spacerów w halach spacerowych, ale także poprzez organizowanie wycieczek w góry.

Nie będę tutaj wymieniał wskazań leczniczych przy kierowaniu do poszczególnych ośrodków, skupię się jedynie na wodach kruszcowych, jak wtedy nazywano wody mineralne.

I tak Cieplice Śląskie posiadały najgorętsze w Polsce cieplice, o ciepłocie dochodzącej do 44 stopni C. Wody te były doprowadzane do sześciu basenów dla kąpeli zbiorowych oraz do wanien. Czerniawa Zdrój posiadała źródła szczawu ziemnej do kuracji pitnej oraz wody kąpielowe. Długopole Zdrój dysponowało źródłem „Emilia” ze szczawami żelazistymi, „Renata” ze szczawami ziemno-żelazistymi oraz „Eliza”, z której pobierano szczawę prostą. Duszniki Zdrój miały do dyspozycji źródła „Pieniawa Chopina”, którego nazwa upamiętniała pobyt Fryderyka Chopina, który podczas pobytu leczniczego wystąpił z koncertem dla kuracjuszy. Była to jedyna ciepła szczawa ziemno-żelazista w Polsce. Oprócz tego uzdrowisko dysponowało źródłami: „Zimnym” i „Janem Kazimierzem” ze szczawami ziemnymi. Kudowa Zdrój wykorzystywała źródła: „Jędrzej Śniadecki”, „Leon Marchlewski” i „Górny” o szczawach alkaliczno-ziemnych. Oprócz tego ze źródła „Gazowy” czerpano bezwodnik węglowy wykorzystywany do suchych kąpeli gazowych. Łądek Zdrój posiadał radocenne cieplice siarkowe o temperaturze wody w granicach 27-29 stopni C. Polanica Zdrój oferowała szczawę alkaliczno-ziemną ze źródła „Wielka Pieniawa” oraz szczawę alkaliczno-żelazistą ze źródła „Józef”. Solice Zdrój (Szczawno Śląskie Zdrój) wykorzystywała źródła „Mieszko” ze szczawą alkaliczną oraz źródła „Dąbrówka” ze szczawą alkaliczno-ziemną. Świeradów Zdrój posiadał aż cztery źródła: „Górny” z radoczną szczawą prostą, „Dolny” ze szczawą alkaliczno-ziemną, „Zosia” z radoczną szczawą żelazistą. Oprócz tego ze źródeł „Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie” czerpano radoczną szczawę prostą. Trzebnica dysponowała wodami z zawartością dwutlenku węgla i żelaza.

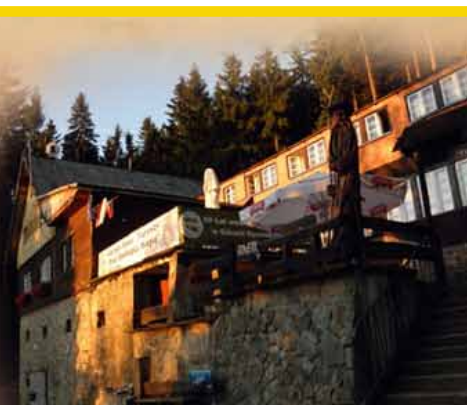
Ważną informacją jest fakt, iż Państwowe Uzdrowiska Dolnośląskie oferowały wody kruszcowe (mineralne) lecznicze i stołowe w sprzedaży wysyłkowej. Były to: „Marysieńka” z Cieplic, „Marchlewski” i „Śniadecki” z Kudowy, „Wielka Pieniawa”, „Józef” i „Staropolanka” z Polanicy oraz „Mieszko”, „Dąbrówka” i „Wacław” z Solic. W tamtym czasie PUD prowadził zakrojone na szeroką skalę prace hydrologiczne i hydrotechniczne celem zorganizowania wysyłki wód ze źródeł Bolków Zdrój.

Przeglądając opisywany informator, można obejrzeć wiele zdjęć przedstawiających wygląd obiektów zdrojowych oraz ciekawych miejsc w ich okolicach i dowiedzieć się, jak w tamtym okresie brzmiały ich nazwy, np. skałki w Hejszowinie nieopodal Kudowy, stacja klimatyczna w Sokołowsku (Jarze) czy „Czarci Zakręt” na „Drodze Sudeckiej”.

Godnymi uwagi są także informacje o możliwościach skorzystania z różnego rodzaju urządzeń sportowych i turystycznych czy propozycjach wycieczek w okolicach uzdrowisk i stacji klimatycznych. Dla przykładu podam, że w rejonie Karpacza działały dwie pływalnie, korty tenisowe, stadion lekkoatletyczny, boisko do gier ruchowych. Znajdowało się tam także szybowisko z różnicą wzniesień ponad tysiąc metrów, skocznia narciarska, cztery tory saneczkowe, ślizgawka, tor bobslejowy, lodowiska, dobrze utrzymane trasy zjazdowe i slalomowe. Jeśli chodzi o Szklarską Porębę to kuracjusze mieli do dyspozycji: pływalnię, korty tenisowe, skocznia narciarską, tor saneczkowy, tor bobslejowy, ślizgawkę oraz narciarskie trasy zjazdowe i slalomowe.

Krzysztof Tęcza

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Mój przyjaciel Naczelny Inspektor

Twórca Straży Ochrony Przyrody

Przede wszystkim był znany jako społecznik, który miał w życiu ważny cel: ochronę przyrody i przez wiele lat spełniał się w działaniu dla niej na Mazowszu. Ale wraz z upływem lat mało kto pamięta o jego pasjach i zasługach w tej dziedzinie. **Witold Tyrakowski (1915-1982)** dziecięce i młodzieńcze zainteresowania przyrodą rozwijał przez studia na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Rezerwista artylerzysta podporucznik w 1939 r. nie wojował długo, jak wielu jego rówieśników. Niewolę przeżył w oflagu II C Woldenberg, czyli Dobiegniew na Ziemi Lubuskiej.

W latach powojennych zajął się tym, co lubił, uważał za ważne, cenne, godne ochrony i zachowania – poznawał przyrodę i popularyzował jej osobliwości. Nawiązał współpracę z Naczelnym Konserwatorem Przyrody i zajmował się opracowywaniem przepisów o ochronie pomników i rezerwatów przyrody zgodnie z literą ustawy z 1949 r. Pasjonował się pracą w terenie, wynajdywaniem cennych okazów, opisywaniem ich, ustanawianiem formalnej ochrony. To była jego droga do wymyślenia w latach 50. społecznej formy dbania o zachowanie najcenniejszych terenów i pomników przyrody. Dzięki jego staraniom w 1957 r. powstała Straż Ochrony Przyrody. Była integralną częścią Ligi Ochrony Przyrody, a Witold Tyrakowski był jej naczelnym inspektorem.

Przekazywał swoją wiedzę w artykułach i książkach popularnonaukowych. Był autorem 20 publikacji, np. m.in.: *Ogłasza się alarm dla planety Ziemia, To nie sztuka być turystą, lecz turystą być — to sztuka. W lesie, W górach, Poradnik młodego przyrodnika, Zwierzęta na naszych szlakach, Krajobraz wczoraj—dziś—jutro* i inne. Gdy je pisał, gdy organizował wycieczki przyrodnicze, gdy podczas spotkań z młodzieżą szkolną przekonywał o konieczności ochrony przyrody, nikt jeszcze nie używał określeń: zrównoważony rozwój, ekologia, turystyka przyrodnicza – można powiedzieć – nawet nie raczkowała.

Tyrakowski ściśle współpracował z wojewódzkimi konserwatorami przyrody, ogniwami Ligi Ochrony Przyrody, wiele czasu spędzał, wspomagając m.in. **Czesława Łaszka (1930-2000)** – biologa, od 1972 r. wojewódzkiego konserwatora przyrody w Warszawie. Ta współpraca zaowocowała powstaniem ponad 60 mazowieckich rezerwatów przyrody, opisaniem około 2 tys. pomników przyrody i utworzeniem kilku parków krajobrazowych. Po Tyrakowskim w 1978 r. został naczelnikiem SOP, a po śmierci nadano jego imię Mazowieckiemu Parkowi Krajobrazowemu To okolice Otwocka, Świdra, Józefowa, malownicze tereny leśne i rozległe łąki związane z nurtem rzeki Świder. Tyrakowski wspólnie z Łaszkiem byli zwolennikami jednego poglądu i stosowali go w praktyce jako popularyzatorzy wiedzy o przyrodzie: *„tylko przez poznawanie przyrody, praw nią rządzących, przez budzenie wrażliwości na jej piękno, można pozyskiwać sprzymierzeńców jej ochrony”*.

Witek – a znaliśmy się kilkanaście lat – mieszkał dosłownie tam, gdzie przyroda zaglądała do okien wielu domów. To jest do dziś okolica znana z walorów, jakie on chciał chronić. Podkowa Leśna opodal Warszawy od 1981 r. jako miasto w przyrodzie została uznana za zabytek – ma tylko 10 km kw. To jedno z kilku w Polsce miast-ogrodów. Powstawało na terenach Lasów Młochowskich należących do prywatnej spółki podróżnika i przemysłowca Stanisława Lilpopa – założyciela potężnej firmy Lilpop, Rau i Lewenstein. Do wojny w 1939 r. była jedną z najpotężniejszych w polskim przemyśle budowy maszyn. Jej zasługą był wysoki techniczny poziom polskiej kolei oraz produkcji sprzętu dla polskiej armii. Produkowała szyny, wagony kolejowe i tramwajowe, ale też lokomotywy, maszyny rolnicze, samochody ciężarowe, a nawet ... mosty.

Spółka Miasto Ogród Podkowa Leśna w 1925 r. zapoczątkowała powstanie miasteczka „w pięknych okolicznościach przyrody”. To okolica znana jako Lasy Młochowskie, a w ich wnętrzu nowoczesność w przyrodzie podzielona na działki budowlane. Historia mówi, że ponad 200 lat temu była to okolica Mazowieckiego Zagłębia Hutniczego. Przed powstaniem styczniowym 1863 r. były to folwarki, pola uprawne i rozległe łąki. Po sąsiedzku zbudowano Kolej Warszawsko-Wiedeńską, początkowo tylko do Grodziska Mazowieckiego. Miasto-ogród nabrało znaczenia po zbudowaniu w 1925 r. Elektrycznej Kolei Dojazdowej, która zastąpiła komunikację konną.

W granicach niewielkiego miasta w przyrodzie zamieszkał Witold Tyrakowski i nic dziwnego, że postanowił wykorzystać tę okoliczność w swoisty sposób. Dzięki staraniom Towarzystwa Miłośników Podkowy Leśnej zachowany jest podkowiński bujny starodrzew mieszany. Ustanowiono **trzy rezerwy przyrody** (Parów Sójek, Zaborów (10 ha utworzony w 1984 r.) nazwany ku pamięci imieniem Witolda i leśny utworzony dzięki staraniom Witolda – im. Bolesława Hryniewieckiego). Miałem rzadką okazję wziąć udział w otwarciu tego rezerwatu (24 ha) w 1977 r. z udziałem jego syna – Jerzego, architekta znanego z projektu nieistniejącego warszawskiego Stadionu X-lecia PRL oraz pierwszego potężnego sklepu samoobsługowego – Supersamu w Warszawie (u zbiegu ul. Puławskiej i pl. Unii Lubelskiej). Imprezę opisałem w reportażu ilustrowanym moimi zdjęciami na łamach „Gościńca” – nieistniejącego już miesięcznika turystów i krajoznawców zwanego kiedyś organem PTTK (nr 11/12 z 1977 r.)

Rezerwat im. Bolesława Hryniewieckiego Rezerwat to starodrzew dębowo-sosnowy z przewagą okazów 200-letnich, ostoja wielu gatunków zwierząt rzadkich i chronionych. Argumentem za ustanowieniem ochrony tego lasu było występowanie w nim: lisów, saren, zajęcy, borsuków, nietoperzy, wiewiórek, gniazdujących sójek, kukulek, kilku gatunków dzięciołów, kowalików, a nawet myszołowa. Zasługą Tyrakowskiego jest udostępnienie rezerwatu turystom przez trzy piesze szlaki turystyczne (czerwony, żółty i zielony) oraz ścieżkę rowerową. Rezerwat leśny Zaborów nosi jego imię Chroni las grądowy z miejscami gniazdowania 26 gatunków ptaków, w tym tak rzadkich jak dzięcioły: średni, duży i czarny, grubodziób.

Tak się złożyło, że właścicielem najbardziej cennego zabytku budownictwa miasta-ogrodu, czyli pięknej, doskonale utrzymanej modrzewiowej willi „Aida” jest mój przyjaciel z dawnej Akademickiej Drużyny Harcerskiej. Willa w stylu szwajcarskim była kiedyś pierwszym ufundowanym przez ojca Stanisława Lilpopa domem (w latach 1922-1928) dla córki Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów. Stylowy podmiejski dworek myśliwski i miejsce spotkań elity towarzyskiej. gościło wielu wybitnych ludzi polskiej kultury. Zanotowano, że byli w nim m.in. Antoni Słonimski, Jan Lechoń, Karol Szymanowski, Helena i Mieczysław Rytardowie. Szymanowski w tym domu tworzył balet „Harnasie”, a Iwaszkiewicz „Lato w Nohant”. Dziś obszerna budowla jest podziwiana przez odwiedzających miasto-ogród m.in. podczas Festiwalu „Otwarte Ogrody”.



Stworzona w 1957 r. przez Witka Tyrakowskiego organizacja obywatelska Straż Ochrony Przyrody powstała na mocy drugiej z kolei (pierwsza była w 1934 r.) polskiej ustawy o ochronie przyrody z 1949 r. Do 2001 r. działała na rzecz ochrony przyrody, przestrzegania przepisów o parkach narodowych, krajobrazowych i rezerwach. Skupiała członków PTTK i kilku innych organizacji turystycznych po przeszkoleniu uprawnionych do instruowania, a w przypadkach naruszeń przepisów do karaniania mandatami. W 1976 w całym kraju było ponad 11 tys. strażników, w 1996 r. około 20 tys. Straż rozwiązano 1 lutego 2001, na jej miejsce powołano stowarzyszenie Straż Ochrony Przyrody.

Tomasz Kowalik

PS. Swego czasu byłem Strażnikiem Ochrony Przyrody „z ramienia” Oddziału Międzyuczelnianego PTTK w Warszawie. Zachowałem legitymację służbową nr 308 wystawioną 1 czerwca 1965 r. oraz posrebrzaną „dużą blachę nr 54” z żubrem i trzema świerkami (mam też „małą blachę” bez numeru z białym emaliowanym tłem). Pełniłem służbę do 1973 r. najczęściej w Kampinoskim PN podczas wycieczek i imprez turystycznych. Nie miałem uprawnień do „mandatowania” wykroczeń przeciw ochronie przyrody, częściej bywałem wykładowcą na kursach organizatorów turystyki.



Patron jednego rezerwatu

Spółka Miasto Ogród Podkowa Leśna w 1925 r. zapoczątkowała powstanie miasteczka „w pięknych okolicznościach przyrody”. To okolica znana jako Lasy Młochowskie, czasem zwane Nadarzyńskie – bardzo blisko, kilkanaście kilometrów opodal Warszawy – a w ich wnętrzu nowoczesność w przyrodzie podzielonej na działki budowlane. Historia mówi, że ponad 200 lat temu było to Mazowieckie Zagłębie Hutnicze. W prostych piecach hutniczych – dymarkach, ruda darniowa oddawała żelazo. Dawni hutnicy przekuwali je na rozmaite wyroby powszechnego użytku. Dziś znajdowane piece, kęsiska żużla i wyroby uznawane są za zabytki dawnej techniki i kultury hutniczej.

Wiele lat temu tam, gdzie stare zagłębie, były folwarki, pola uprawne i rozległe łąki dla wypasu bydła. Po sąsiedzku zbudowano w 1845 r. Drogę Żelazną Warszawsko-Wiedeńską, początkowo tylko do Grodziska Mazowieckiego. Miasto-ogród nabrało większego znaczenia dopiero w XX w. po zbudowaniu w 1925 r. Elektrycznej Kolei Dojazdowej, świetnej trasy komunikacyjnej z Warszawy do Podkowy Leśnej, która zastąpiła komunikację konną.

Z dawnego środka Warszawy, czyli opodal skrzyżowania Alej Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej 14 czerwca 1845 r. z dworca z widocznym z daleka na wieży zegarem wyjechały dwa składy pociągów z zaproszonymi gośćmi do Grodziska. Początkowo linia kolejowa uznawana była za doskonały sposób na wycieczki za miasto. Pociągi jeździły nieregularnie i były uruchamiane w dni pogodne i świąteczne. W latach 40. XIX w. podróż do Grodziska powozami, czyli wagonami doczepionymi do parowozu trwała zaledwie 45 minut.

Pasażerowie ucieszeni powolną jazdą po torach wśród podmiejskiej zabudowy, łąk i pól uprawnych mijali stację towarową (w okolicach dzisiejszego pl. Zawiszy i terenów zajętych przez kolejowe magazyny na Odolanach) i przez Pruszków dojeżdżali do Grodziska z zabudową letniskową. Pociąg stawał przy drewnianym pawilonie, w którym była restauracja dla tych gości, którzy nie mieli ze sobą wałówek zazwyczaj w wiklinowym koszyku.

W granicach niewielkiego miasteczka położonego w przeredzonych już wtedy Lasach Młochowskich zamieszkał inżynier leśnik **Witold Tyrakowski** i nic dziwnego, że postanowił wykorzystać tę okoliczność w swoisty sposób. Dzięki staraniom Towarzystwa Miłośników Podkowy Leśnej zachowany jest podkowieński bujny starodrzew mieszany. Dzięki jego staraniom ustanowiono **trzy rezerwaty przyrody** („Parów Sójek”, „Zaborów” im. Tyrakowskiego (10 ha utworzony w 1984 r.) i „Leśny im. Bolesława Hryniewieckiego” utworzony dzięki staraniom Tyrakowskiego.

Miałem rzadką okazję uczestniczenia w otwarciu tego rezerwatu (24 ha) w 1977 r. z udziałem syna patrona rezerwatu – Jerzego. Był on znanym architektem, projektantem warszawskiego **Stadionu X-lecia PRL** (już nieistniejącego, na prawym brzegu Wisły tuż przy praskim przyczółku mostu im. Poniatowskiego) oraz pierwszego wielkopowierzchniowego sklepu samoobsługowego – **Supersamu** w Warszawie (u zbiegu ul. Puławskiej i pl. Unii Lubelskiej). Imprezę opisałem w reportażu ilustrowanym moimi zdjęciami na łamach „Gościńca” – nieistniejącego już miesięcznika turystów i krajoznawców zwanego kiedyś organem PTTK (nr 11/12 z 1977 r.)

Rezerwat podkowieński nosi imię **Bolesława Hryniewieckiego (1875-1963)** wybitnego polskiego botanika, który swoje osiągnięcia naukowe zaliczał na zesłaniu w Rosji, ale ten czas niewoli wykorzystał jak wielu z jego pokolenia na badania przyrodnicze. Został zesłany jako podejrzany politycznie przez władze carskie student Uniwersytetu Warszawskiego. Studia przyrodnicze dokończył w Dorpacie – dziś Tartu



Bolesław Hryniewiecki. Fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-46, Domena publiczna, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=14821994>

w Łotwie. Podróżował w 1899-1903 po Uralu, Kaukazie i Armenii, uczestnicząc m.in. w wyprawie botanicznej na Ararat. Już w 1904 r. posiadał tytuł docenta, a w latach 1914-1919 był dyrektorem Ogrodu Botanicznego w Odessie.

Od pierwszych miesięcy niepodległości w 1919 r. jako naukowiec z dorobkiem badawczym został profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1926-1927 był rektorem tej uczelni i dyrektorem jej Ogrodu Botanicznego przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie, gdzie

dziś jego osobę przypomina kamienny obelisk. Od 1921 r. był członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności, a od 1931 r. Komisji Historii Medycyny i Nauk Matematyczno-Przyrodniczych PAU i od 1950 r. Komisji Nauk Rolniczo-Leśnych PAU.

Był autorem licznych prac naukowych i popularnonaukowych z dziedziny botaniki, historii botaniki, organizacji nauki, ochrony przyrody i jednym z założycieli, prezesem i członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Botanicznego oraz Ligi Ochrony Przyrody w 1928 r. i jej prezesem w 1929 r. Organizacja ta powstała na wzór podobnej m.in. ze Szwajcarii. Znany był ze swego talentu pedagogicznego, łączył rozległą wiedzę z wielu dziedzin nauki z botaniczną. Uznawany jest za pioniera i wybitnego działacza ochrony przyrody w Polsce.

Ma w swoim dorobku prace i publikacje, które przyczyniły się do utworzenia parków narodowych w Tatrach i Górach Świętokrzyskich. Wzorując się na znanych przyrodnikach, prowadził wycieczki naukowe w Tatry i wykladał o roślinach tatrzańskich swoim studentom. Był jednym z organizatorów Wakacyjnego Uniwersytetu w Zakopanem (1904-1905) i jak Mieczysław Orłowicz jego wycieczek kursowych. W 1934 r. opublikował artykuły projektujące park narodowy w Tatrach – *Walka o Park Narodowy w Tatrach* („Ziemia” 1934, nr 1-2), *Piękno Tatr* („Tygodnik Ilustrowany” 1934, nr 28).

Od 1942 r. ogród zamknięto dla polskiej publiczności, ale Hryniewiecki często spędzał w nim wiele czasu, był miejscem jego azylu w tym ciężkim czasie. W swoich wspomnieniach z tego czasu Mieczysław Orłowicz wymienia spotkania towarzyskie z Hryniewieckim i układanie swoich wierszowanych opowieści o wędrówkach po Karpatach Wschodnich. Po wojnie wybitny botanik wrócił na uczelnię, gdzie jako ceniony wykładowca pracował do 1957 r. Jako popularyzator wiedzy o przyrodnikach polskich opracował i ogłosił życiorysy naukowe badaczy przyrody tatrzańskiej, m.in. **Januarego Kołodziejczyka, Józefa Rostafińskiego, Władysława Szafera**, badacza przyrody babiogórskiej **Hugo Zapalowicza**.

W 2011 r. pamięć o Bolesławie Hryniewieckim, dawnym mieszkańcu podwarszawskiego Brwinowa, utrwalala **Lokalna Grupa Działania „Zielone Sąsiedztwo”**. Podczas kursu dla organizatorów turystyki jego uczestnicy odwiedzili Podkowę Leśną i rezerwat im. Hryniewieckiego i Tyrakowskiego. Podczas wycieczki rowerowej uczestnicy poznali szlaki rowerowe i konne, poznali opowieści o Hryniewieckim i Tyrakowskim – przyrodnikach zasłużonych dla polskiej nauki, ochrony przyrody i turystyki przyrodniczej.

Tomasz Kowalik



NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Samson Nowacki

Był szlachcicem z przełomu XVI i XVII wieku (daty urodzenia i śmierci nie są znane). Otrzymał niezwykle imię Samson (zapewne na pamiątkę sędziego izraelskiego niezwyklej siły, który za sprawą Dalili wydany został Filistynom i zginął pod gruzami świątyni).

Samson Nowacki (pisano też Nawacki) jako żołnierz został wzięty do niewoli przez carską armię w 1621 r. Początkowo miano go osiedlić w Tomsku. Jednak jako doświadczonego *lisowczyka* (lisowczycy to ochotniczy oddział lekkiej jazdy, walczący z armią carską za Zygmunta III) skierowano do Tobolska. Na miasto często napadali tubylcy, trzeba więc było wzmocnić jego ochronę ludźmi znającymi się na wojowaniu. Nowacki przyjął prawosławie, czym zyskał zaufanie władz i otrzymał rosyjski tytuł szlachecki *syna bojarskiego*. W 1628 r. uczyniono go dowódcą oddziału kozackiego.

Wkrótce oddział otrzymał rozkaz spenetrowania obszaru nad Niżną Tunguzką. Celem wyprawy było rozpoznanie tego kraju, podporządkowanie miejscowych ludów władzy carskiej i zebranie *jasaku* (daniny) dla cara. Nowacki udał się do Jenisiejska, gdzie pozyskał nowych ludzi, uzupełnił zapasy i zdobył łodzie. Przyłączył się tam do niego polski zesłaniec Antoni Dobryński – jeniec z 1620 r. Płynąc łodziami w dół Jenisiejem i w górę Niżną Tunguzką, Nowacki dowiedział się o wielkiej rzece, nad którą mieszkają jakieś nieznane plemiona. Wydzielił więc 30-osobowy oddział z Dobryńskim na czele i nakazał mu odwiedzić nieznane terytoria nad tą wielką rzeką. Sam z resztą kozaków pozostał nad Niżną Tunguzką, by zbierać jasek. Wydzielony oddział przeszedł przez wzgórza do rzeki Czony, popłynął nią i Wilujem w dół do Leny. Od ujścia Wiluja popłynął Leną w górę rzeki do ujścia Ałdanu. Tam oddział zatrzymał się w celu prezimowania i zbudował niewielki *ostróg*. Próba zbierania jaseku spowodowała, że w listopadzie 1630 r. tubylcy okrążyli kozaków zamkniętych w ostrogu. Dopiero w maju 1631 r. straciwszy wielu zabitych odstąpili od oblężenia. Oddział wówczas wyszedł z ostrogu i odbył drogę powrotną Wilujem i Niżną Tunguzką aż do Turuchańska. Dopiero w lipcu 1632 r. pozostali przy życiu kozacy, stanowiący połowę oddziału Dobryńskiego, wrócili do Tobolska.

Aby ocenić trudność tej ekspedycji, warto uzmysłowić sobie, że z Tobolska do Jenisiejska wzdłuż Irtysza, Obu i Ketia jest 1,5 tys. km, od Jenisiejska wzdłuż Jenisieju do ujścia Niżnej Tunguzki jest 1 tys. km; podróż Niżną Tunguzką wymagała przebycia 1,5 tys. km i spływ Czoną i Wilujem do Leny jeszcze 1,5 tys. km.

Kozakom nie udało się zebrać jaseku, ale przynieśli informacje o *nowej ziemi* i o życiu Jakutów, którzy wtedy jeszcze byli wolni i nie uznawali władzy carskiej. Tak więc Samson Nowacki i Antoni Dobryński zapisali się w dziejach jako pierwsi polscy odkrywcy Jakucji.

Janusz Fuksa



Renifery

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Rozmyślanie zagryziaka

Po kilkunastu miesiącach użerania się na forach internetowych i nie tylko o nazwę Góry Izerskie zamiast „Izery” muszę o tym napisać w tym miejscu. Reakcje są różne. Popiera mnie kilka osób w tym konsekwentnie p. Arkadiusz Lipin a ostatnio p. Katarzyna Potocka-Brygier. Jedni milczą, inni nie rozumieją o co kruszyć kopie, a tłum młodzieży uważa, że język polski do nich należy i mogą z nim robić, co im się podoba. Dlatego język ojczysty „rozwijają i ubogacają”. Tak im się wydaje... Do niewielu trafiają argumenty, że nazwa Góry Izerskie ma charakter urzędowy i podlega prawnej ochronie. A co tam prawo, skoro nawet jeden z prezydentów zachęcał: róbta co chceta. No to robią. Ale od lekceważenia prawa jest krótka droga do bezprawia! Obowiązek przestrzegania nazw urzędowych w przestrzeni publicznej narzucają wszystkie rozporządzenia wprowadzające polskie nazwy urzędowe na Ziemiach Zachodnich i Północnych.

Młodzieży trzeba i należy wybaczyć wiele, bo sami byliśmy młodzi i co wytykać palcem skoro sam na Sokole Góry mawiałem w czasach studenckich „Cyckengebirge”. Internetu jeszcze nie było, ale nie przypominam sobie, aby w rajdowych opisach tras ktoś odważył się umieścić taką nazwę, skoro Sokole Góry to nazwa urzędowa. Dzisiaj odwaga bardzo potaniała i w Internecie zobaczycie wszystko. Charakterystyczne są zwłaszcza napaści beczelnych tchórzy chowających się za nickami.

Miłośnicy gór i turyści to jeden problem. Co jednak powiedzieć o instytucjach państwowych finansowanych z budżetu (czyli z Waszych podatków!) takich jak Główny Urząd Kartografii i Geodezji czy Karkonoski Park Narodowy. Obie te instytucje mają spore zasługi w dziedzinie propagowania nazewnictwa potocznego zamiast nazw urzędowych. Pierwsza robi to na mapach, wysyłając pliki z błędnymi nazwami do wydawnictw turystycznych, a druga puszcza w świat błędne nazwy w swoich wydawnictwach, tłumacząc się, że „wszyscy tak mówią”.

Z końcem 2020 r. ukazała się „wystrzałowa” publikacja KPN „Przyroda Karkonoskiego Parku Narodowego”. Przeczytałem ją zachęcony wspaniałym zdjęciem na którym p. Roksana Knapik z gestem zwycięskiej bogini Nike wznosi do góry statuetkę za pierwsze miejsce w międzynarodowym konkursie prac poświęconym górcom. Przeczytałem i zmarkotniałem – widząc – jak zostało potraktowane urzędowe nazewnictwo. To już inna waga błędu. To, co da się wybaczyć turyście, jest niewybaczalne dla naukowca! Rozumiem, że nie każdy jest „alfą i łamagą” i na wszystkim nie musi się znać. Musi jednak zachować staranność i naukową rzetelność, chyba że darzy tym tylko własną dyscyplinę naukową, a resztę ma w „głębokim poważaniu”. Tak niestety to wygląda. Jeżeli źródłem nazewnictwa są dla naukowców stare mapy turystyczne to nie wiem, czy śmiać się, czy zapłakać.

Nie chcę rozpisywać się o szczegółach, bo to jest kwestia recenzji, która myślę, że powstanie jeszcze w tym półroczu. I jeszcze kamyczek do ogródka ważnej instytucji w Sobieszowie. Uważam, że redakcja tego dzieła miała ostatnią szansę na dokonanie korekty błędnych nazw i nie tylko, ale z tego nie skorzystała. Nie będę dociekał dlaczego.

Specyfika nazewnictwa sudeckiego polega na tym, że w przeciwieństwie do innych gór polskich jest tutaj urzędowe nazewnictwo. Niedawno pewien znany krytyk (znany wyłącznie z krytyki, bo sam nic nie pisze) stwierdził na zakończenie długiej dyskusji na fejsie, że jemu na ogół nie przeszkadzają używane przez wszystkich nazwy. Tym samym dał mi delikatnie do zrozumienia, że czepiam się ludzi w sprawach mało ważnych jak narwany zagryziak. Ale czepiam się tego, na czym się znam i dla mnie są to sprawy ważne, tym bardziej, że związane z przestrzeganiem prawa. Z mojego doświadczenia wynika, iż najczęściej nie czepiają się ludzie, którzy nie wiedzą, o co chodzi. Ja również nie czepiam się geologa, botanika czy informatyka, gdyż nie mam pojęcia o ich dziedzinach. Natomiast przyzwalanie na łamanie prawa wywołuje u mnie sprzeciw.

Jerzy K. Bieńkowski

Gorce – to tam, gdzie kwitną dziewięciszły

Z pierwszej strony tego albumu fotograficznego: *Moi ostomili! Gdzie te dawne casy / chłopskie gazdowanie / Kiej sie stada bydła / pasły na polanie ?/ Kiej ześ terkot dzwoneków mógl słyseć co rano Odgłos klepanio kos, babskiego «wyskanio»?*

Hej, małe są te góry, a cieszą jakby były wielkie. I są bardzo blisko, wielu nazywa je po swojemu „góry domowe”. Łatwo do nich trafić między wielkimi Tatrami a niewielkimi Beskidami, wznoszą się nad rzekami – Dunajcem, Kamienicą Gorczańska, Ochotnicą, a spływa z nich bodaj setka mniejszych strumieni i potoków.

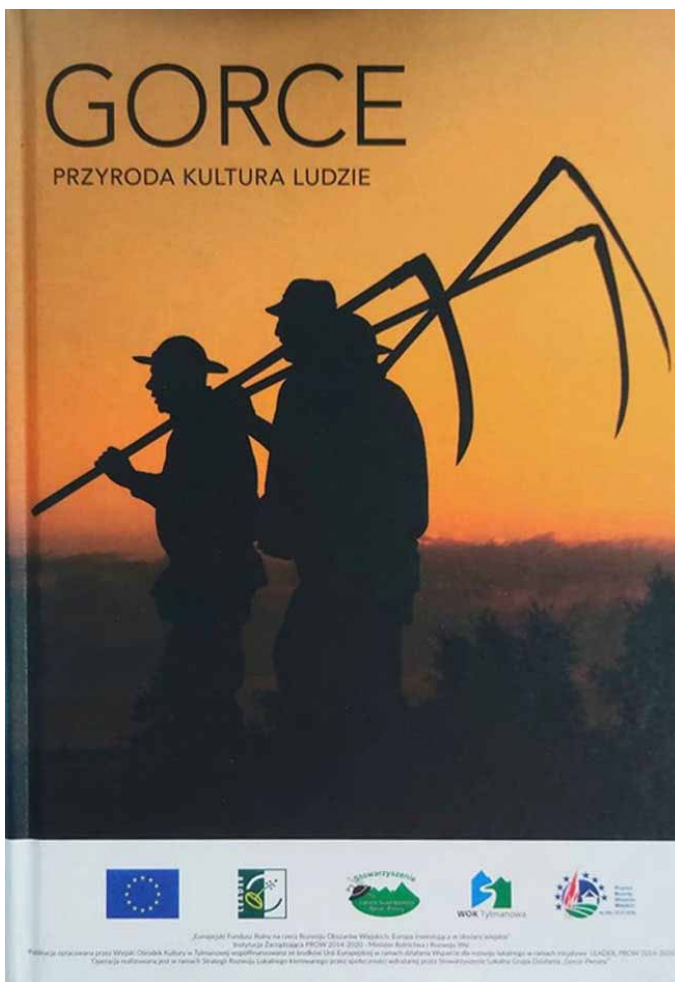
Ale góry jak to góry, mają swoje szczyty, ale też rozległe polany kośne, kiedyś pachnące sianem, wypasane i pełne pasterskich szałasów i koszarów dla owiec. Słychać było z daleka zbyrkotanie dzwoneków i śpiewanie, gorczańskie wyskanie. Ale już od wczoraj w Gorcach jest bardzo cicho, czasem zagra wiatr, czasem huknie grzmot, czasem zarzyczy jeleń, są tacy, co słyszeli wycie wilka.

I może dlatego troje fotografików – Lucyna Kozub z Tylmanowej, Łukasz Lisiecki ze studia 630 w Czorsztynie, Michał Piętaś twórca niezależny – pokazali, co potrafią, gdy użyją swoich aparatów fotograficznych. O tym, że za swoje widzenie świata przez ich wizjery zebrali kilkadziesiąt nagród, pokazali swoje fotografie na licznych wystawach, o tych prywatnych sukcesach mało kto wie. Tym razem więc zebrali swoje kadry liczone w tysiącach i wybrali ponad 260 do skomponowali albumu *Gorce – Przyroda – Kultura – Ludzie* ze wstępem Jana Bodziarczyka, profesora, przyrodnika z rodziny tylmanowskich leśników od czterech pokoleń.

I dlatego mocno zachęcam do długiego patrzenia na pierwszą fotograficzną panoramę gorczańskiej krainy z okolicy Magurek. Ten obraz mówi prawie wszystko o Gorcach, o ich łagodności, bujnej lesistości, ostatnich szałasach. Kolejne kilkaset obrazów w fotograficznych ujęciach na 200 stronach albumu dopowiada jeszcze więcej. Budzi też ochotę do wędrowki, „pójścia w las” jak te sławne ogary świętokrzyskie, na krótką lub dłuższą łączącą po starych gorczańskich tropach, tych pradawnych do zrywki drewna, przez wąwozy w stokach do zwożenia suchego siana w doliny, a od ponad stulecia po znakowanych szlakach dla turystów.

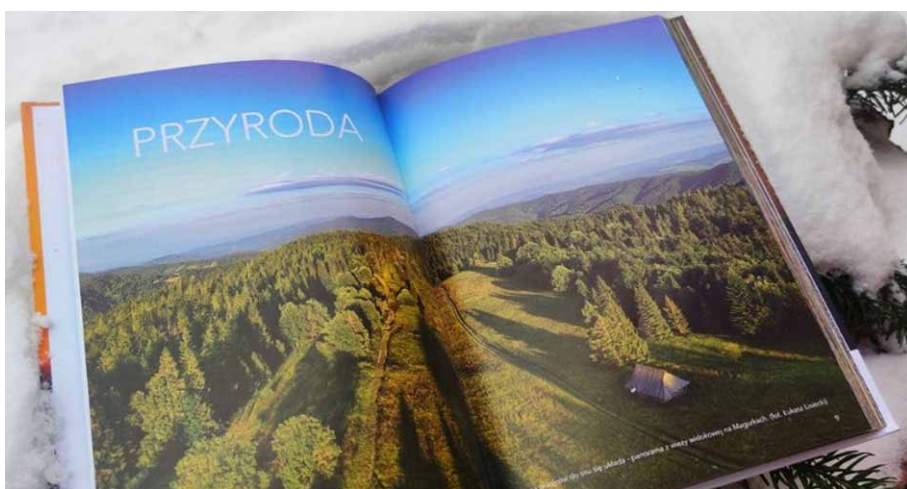
Zanim zrobimy pierwsze kroki przez gorczańskie polany i w gorczańskich lasach, wypada popatrzeć na kilkaset portretów tej bujnej gorczańskiej przyrody, lasów, polan, potoków. Znajdziemy je w albumie fotograficznym *GORCE*. To w istocie nieruchomy film o niewielkim górskim regionie, jego mieszkańcach i o tym, co było – i ciągle jest – dla nich najważniejsze. O środowisku ich codziennego życia, o starych domowych rzemiosłach i gospodarstwach, o twórczości artystycznej. Tej na pokaz i tylko osobistej.

Patrzmy na obrazy tego, co najbardziej wartościowe i zachowane jako zabytki dawno temu stworzone przez mieszkańców gorczańskich wsi i górskich osiedli. Na obrazy pokazujące tych gorczańskich górali przy pracy w domu, ogrodzie, własnej dziedzinie. Album jest – tak był pomyślany i tak go stworzyli autorzy – obrazem Gorców, jakie dziś trzeba sobie wyobrazić z pomocą licznych fotografii składających się na to



wszystko, co w skrócie nazywa się „gorczańskie”, czyli swojskie, nasze, niepowtarzalne.

Taki był pomysł twórców z kręgu Wiejskiego Ośrodka Kultury w Tylmanowej. To wieś swojskie „podwójna”, rozłożona na dwóch brzegach Dunajca – gorczańskiej i beskidzko-śądeckiej, na łagodnych stokach opadających do dawniej groźnej rzeki od Turbacza, Lubania i Makowicy, i od Prehyby, i Jaworzyny. W sąsiedztwie jest stare miasto królewskie Krościenko nad Du-



najcem, niepowtarzalne Pieniny i sławny Zielony Przełom Dunajca w Tylmanowej-Kłodnem. Album ukazał się w nakładzie zaledwie 2 tys. egzemplarzy jako produkt Gorczańskiej Kampanii Promocyjnej.

Istotą wydawnictwa jest stworzone dla kampanii hasło *My górale i nasza tożsamość – sentymentalna podróż do przeszłości*. Bez obrazu o popełnienie dużego błędu wypada stwierdzić, że niemal każda z wypełniających album fotografii to dowody tej tożsamości, a często również odkrycie nieznanego nurtu życia „w rytmie natury” dawnych i współczesnych mieszkańców ponad pięćdziesięciu tylmanowskich osiedli. Dla przykładu warto zwrócić uwagę, że na s. 26-27 jest stary dom w objęciach kwiatów osiedlu Kłepy – „tak się kiedyś mieszkało”, na s. 70-71 – tak się świętowało dawniej i dziś, ze s. 86-87 dowiadujemy się, skąd się bierze chleb, na s. 108-109 i 120-121 jest portret tych co nas żywiły, na s. 140-143 jest wspomnienie o dawnych żniwach, zaś na s. 166-167 „śpiewają”: *wyszedł Jasio łączkę kosić, słonko świeciło...* Niestety, na polanach gorczańskich coraz rzadziej słyszy się takie nuty...

Ale jak zobaczymy na s. 192-193 tych, co potrafią rozweselić, podać nutę do śpiewu, wykrzeszą rytm do tańca, to wiadomo *góralsko muzyka nigdy nie zaginie, ani na wirsycku ani na dolinie*. Mieszkańcy gorczańskich wsi, takich jak choćby Tylmanowa, żyją jeszcze zgodnie z rytmem natury, pór roku, codziennych zajęć gospodarskich, w dni powszednie i świąteczne. A jest ich – jak wiadomo – w roku wystarczająco dużo, by nie tylko świętować, ale i mozolić się w codzienności.

Nastrój, jaki wywiódł się z pierwszych zdań cytowanych na początku tego tekstu towarzyszy czytelnikowi do ostatniej strony albumu. Działa na wyobraźnię, którą ożywiają setki fotografii i zachęcają do wyruszenia „po przygodę i radość” w... Gorce.

Tomasz Kowalik

GORCE – Przyroda – Kultura – Ludzie – album fotograficzny. Fot.: Lucyna Kozub, Łukasz Lisiecki, Michał Piętaś, wstęp prof. nadzw. dr hab. inż. Jan Bodziarczyk, wyd. Wiejski Ośrodek Kultury w Tylmanowej, 2020, s. 200 .

Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej – dla wsparcia rozwoju lokalnego w ramach Strategii Rozwoju Lokalnego dla Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Gorce – Pieniny” oraz Gorczańskiej Kampanii Ekologicznej w Rytmie Natury

**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Nowości Wydawnictwa Poznańskiego

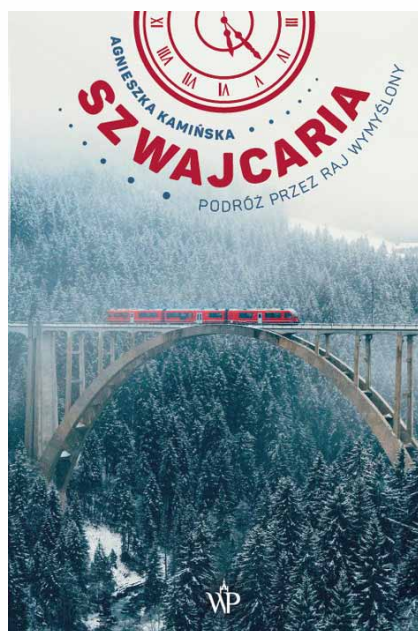
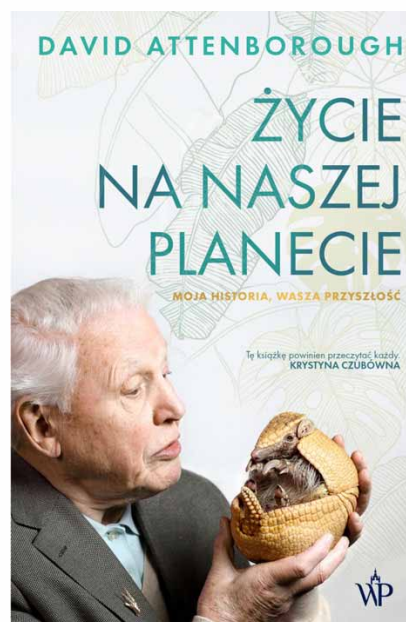
Życie na naszej planecie. Moja historia, wasza przyszłość

Autor: David Attenborough, przekład: Paulina Surniak, rok wydania: 2021, liczba stron: 304, oprawa: miękka ze skrzydełkami, ISBN: 9788366657021

„W chwili, kiedy to piszę, mam dziewięćdziesiąt cztery lata. Przeżyłem naprawdę niezwykle życie. Dopiero teraz to do mnie dociera. Miałem szczęście. Podróżowałem w dzikie miejsca i kręciłem filmy o stworzeniach, które je zamieszkują. Dzięki temu dobrze poznałem naszą planetę. Na własne oczy przekonałem się, jaka jest cudowna i różnorodna. Byłem świadkiem wspaniałych spektakli i poruszających dramatów”.

David Attenborough – najsłynniejszy przyrodnik świata i legendarny dokumentalista, a do tego jeden z najbardziej rozpoznawalnych głosów w telewizji. Swoją karierę rozpoczął wraz z narodzinami brytyjskiej stacji BBC. Dzięki jego programom mogliśmy dotrzeć w najdalsze zakątki na Ziemi, dotąd nieodkryte przez człowieka; poznać zwierzęta, których nigdy byśmy nie spotkali.

Świat, w którym żyjemy, zmienił się nie do poznania na jego oczach. Był świadkiem tego, jak człowiek niszczy swój dom. Postępująca zagłada bioróżnorodności planety jest prawdziwą tragedią naszych czasów, a jej dowody są wszędzie. Możemy to zmienić, jeśli zaczniemy działać teraz. David Attenborough jest właściwą osobą, która może wskazać nam drogę.



Szwajcaria. Podróż przez raj wymyślony

Autorka: Agnieszka Kamińska, data premiery: 2021-02-10, liczba stron: 320, ISBN: 9788366736450

- Dlaczego w szwajcarskich domach nie ma pralek?
- Co bardziej dzieli Szwajcarów, „rów polenty” czy „granica z ziemniaka”?
- Gdzie kupić świeże alpejskie powietrze na wynos?

Etykieta światowej prymuski przyłgnęła do Szwajcarii niczym przekonanie, że po alpejskich łąkach naprawdę hasają fioletowe krowy. Tu bez obaw można zostawić na ulicy niezapięty rower czy napić się wody prosto z ulicznej fontanny. Kiedyś „szwajcarskość” reklamowała produkty wysokiej jakości, dziś to zbiór walorów, takich jak punktualność, innowacyjność czy bezpieczeństwo. Ilość pozytywnych skojarzeń, jakie budzi Szwajcaria, nie dziwi, lecz warto je zweryfikować.

Autorka przemierza alpejskie szlaki, trasy kolejowe oraz wybrukowane uliczki helweckich miast. Odkrywa przed nami ten raj wymyślony; państwo, którego nie ma, choć według legendy zaczęło się... na łące.

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza, Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa, Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk, Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931